

ROK LIX.

CENA NUMERU 1.40 gr.

Nr. 26

BILUSZCZ



WARSZAWA, 26 CZERWCA 1926 ROKU

OD ADMINISTRACJI

PROSIMY O ZAPŁACENIE PRENUMERATY ZA LIPIEC WZGLĘDNIE ZA TRZECI KWARTAŁ r. b.

RENUMERATA JEST PŁATNA ZGORY

CZEKI P. K. O. DOŁĄCZYLIŚMY DO NUMERU 25.

Ze względu na to, że wysłane przez nas numery „BLUSZCZU” często giną na pocście, prosimy, w razie nieotrzymania numeru zawiadamiać nas o tem najpóźniej w poniedziałek następnego tygodnia. Reklamacyj niewniesionych w czasie właściwym uwzględniać nie będziemy.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Ważne dla wszystkich Czytelniczek!

W PIERWSZYCH DNIACH LIPCA R. B. UKAŻE SIĘ NAKŁADEM TOW. WYD. „BLUSZCZU”

BOGATO ILUSTROWANA KSIĄŻECZKA

p. t.

HAFT KOŁOROWY

ZAWIERAJĄCA DOKŁADNĄ NAUKĘ WSZELKIEGO RODZAJU
HAFTÓW KOŁOROWYCH ORAZ ODPOWIEDNIE
WZORY NATURALNEJ WIELKOŚCI

CENA POWYŻSZEGO WYDAWNICTWA W SPRZEDAŻY DETALICZNEJ WYNOŚIĆ BĘDZIE

1 zł. 50 gr.

Czytelniczki „BLUSZCZU”, które
do dnia 1 lipca r. b. nadesłały kwotę

1 zł.

otrzymają „HAFT KOŁOROWY”
po tej ZNIŻONEJ CENIE

Chorzy! Używajcie tylko pewne **Chorzy!**

Tysiące ludzi chroniącznie chorych uzdrewiły
od 1662 roku

REFORMACKIE

pigułki z m. Zakonnik



Zalecane przez powagi lekarskie REFORMACKIE pigułki z m. zakonnik radykalnie usuwają wszelkie cierpienia ŻOŁĄ KOWE, cierpienia HEREK, cierpienia WĄTROBY, KAMIEŃ ŻOŁCIOWY, cierpienia HEMOROIDALNE, REUMATYZM, ARTRETYZM, bóle GŁOWY, WYRZUTY I LISZAJE, pobudzają TRAWIENIE, APETYT i przy skłonnościach do OBSTRUKCJI są niezastąpionym środkiem PRZECZYSZCZAJĄCYM

Wzięcie 1 do 2 pigulek na noc ———— Cena pud. zł 135
Wyrobu apteki KARCEWSKI-TUSZYŃSKI Warszawa, Trebicka 4
Żądać w aptekach i składach z Zakonnikiem



ROK LIX

MISIA TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

№ 26

WARSZAWA, 26 CZERWCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Działalność związku teatrów ludowych — H. C. Samopomoc zbiorowa — C. W. Obóz w Laskach. Assyż (dok.) — Eilen Key. Wiersze — Marja Pawlikowska. O złotym grodzie — Z. Reutt-Witkowska. Grande Grille (szkic powieściowy) — Wanda Miłowska. Przymierze z dzieckiem — Marja Kuncewiczowa. Córka Boga (c. d.) — Z. Zawiszanka. Kobieta w świecie i w domu — Z. B. Pokłosie sezonu muzycznego — J. R. Z książek — N. Samotyhowa. Z teatrów — Z. P. Dział praktyczny: Mody i roboty. Pull-over szydełkowy. Lato — W. D. Sztuczne perły — Zofia Królowa. Polska współczesna. W przeddzień wyjazdu na letnie wywczasy — Józefa Gażyńska. Małżeństwo w jesieni życia — J. S. Pokaz Centr. Tow. Rolniczego — C. r. Obiady na maszynie — Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie — Pani Elżbieta. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — Concha Espina (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza).

DZIAŁALNOŚĆ ZWIĄZKU TEATRÓW LUDOWYCH



agadnienie Teatru Ludowego rozwiązuje warszawski Związek Teatrów Ludowych w sposób bardzo interesujący. Teatr Ludowy, to nie teatr miejski, przedsiębiorstwo dochodowe, do którego piszą zawodowcy, i gdzie występują zawodowcy, a które wystawia

to, co się publiczności najlepiej podoba, a tem samem najwięcej daje zysku...

Teatr Ludowy ma swoją specjalną misję. Misją tą jest wyładowywać samorzną twórczość artystyczną ludu.

Lud ma ukazać na improwizowanej scenie Domu Ludowego, szkoły, czy stodoły, a najlepiej pod gołym niebem, gdzieś na ruinach starego zamczyska, czy u stóp kurhanu przeszłości, to „co mu w duszy gra”.

Takie przedstawienie byłoby więc np. ilustracją miejscowej legendy, podania, tradycji historycznej, bajką, wyrażoną nie tylko słowami, ale i gestem, bajką żywą, bajką w ruchu...

Oczywiście, im więcej przy tej sposobności współdziała wyobraźnia artystów, im więcej oni tworzą, a mniej odtwarzają — tem dany zespół bliższy jest ideału Teatru Ludowego.

Na pytanie, czy ideał ten, choćby w pewnej mierze, realizuje się gdziekolwiek, odpowiadano mi, że udaje się to najlepiej w zespołach Uniwersytetu Ludowego w Szycach. Naogół jednak grywa się dotąd różne miejskie sztuczki, gdyż kierowni-

cy zespołów teatralnych nie od razu chwytają podstawową ideę pracy.

Gdyby można było zorganizować stały instruktorjat teatralny, wykłady, kursy dla kierowników zespołów, i t. p., praca weszłaby prędzej na właściwe tory. Temu jednak staże na przeszkodzie brak środków pieniężnych. Narazie szerzy ideę miesięcznik „Teatr Ludowy”, prowadzony bardzo żywo, interesujący i kulturalnie.

Szczególnie wartościową w nim rzeczą, nietylko z punktu widzenia rozwoju Teatrów Ludowych, są zamieszczane w nim stale „Źródła Teatru Ludowego”, to jest: obrzędy weselne, tak rozmaite w różnych stronach kraju, obchody świąteczne, szopki, andrzejki itd. itd. Czy są to źródła, czy raczej ocalone strzępy prastarej, pogańskiej sztuki religijnej?.. W każdym razie jest rzeczą niesłychanie ważną uchronić je od ostatecznego zapomnienia, a rozwinięciem z ich wątku nową sztukę ludową i nową kulturę, byłoby sprawą wielką.

Takie właśnie „Wesele łowieckie”, oparte o prastary, miejscowy temat, skonstruowane w całości przez samych aktorów, odegrano roku ub. podczas Wystawy w Liskowie. Powodzenie było nadzwyczajne.

Związek Teatrów Ludowych kulturalne zadanie swoje traktuje wogóle bardzo poważnie.

W odezwie, zamieszczonej w organie Związku, a wzywającej wszystkich „twórcy” teatrów ludowych na Zjazd do Warszawy 26 czerwca r. b., czytamy:



„Przeżywamy czasy, kiedy przytłacza nas wszystkich beznadziejna szarzyzna codziennego życia, pełnego trosk, kiedy człowiek przeciętny jest smutnym i złym, niezdolnym do idealnych porywów.

I oto w tę atmosferę powszechnego smutku dnia dzisiejszego pracownicy na terenie teatru ludowego ośmielają się wnieść promień światła i radości życia.

Dlatego działalność nasza nie jest zabawką, ale jest rzeczą szanowną.

W dzisiejszych czasach powszechnego niezadowolenia popularne są prądy podciągania człowieka pod szablon jakiegoś międzynarodowego obywatelstwa i odbierania człowiekowi wszelkich umiłowań i tradycji narodowych.

I oto znowu my, pracownicy teatru ludowego, dajemy wyraz życiowy naszej odrębnej polskiej duszy.

I z tych względów działalność nasza jest szanowną”.

Dać nowy wyraz polskiej duszy przez stworzenie ludowej improwizacji teatralnej—oto do czego dążą pionierzy tego ruchu, z jasną świadomością celów i dróg.

Po drodze zbierają różne drobniejsze pożytki w postaci rozbudzania i zachęty mas ludowych do pracy kulturalnej, oświatowej i społecznej.

Utrzymują niektórzy, że pracę społeczną na wsi najlepiej zacząć od teatru; teatr nęci, czaruje naturę pierwotną ponad wyobrażenie człowieka miejskiego, wywiera niekiedy wprost wstrząsające wrażenie, odsłaniając nagle przed duszą nieprzeczuwane dotąd widnokreśli uczuć i myśli.

Praca Teatru Ludowego prowadzi się na wielką skalę.

Związek powstał w roku 1919 i do chwili dzisiejszej powołał do życia, lub żyjących już zgarnął pod swoją egidę 1500 zespołów teatralnych, wiejskich, robotniczych, szkolnych. Działa głównie na terenie byłego Zaboru rosyjskiego, zapuszczając jednak zagony i na Pomorze. W Małopolsce pracuje równolegle istniejący dawniej Związek teatrów i chórów ludowych z siedzibą we Lwowie. Oba Związki ciążą ku sobie i połączenie nastąpi prawdopodobnie na Zjeździe w Warszawie, zwołanym na dzień 26 czerwca r. b.

Zespoły Związku warszawskiego pracują rozmaicie. Przeciętnie jednak obliczać można 3 przedsta-

wienia teatralne w ciągu roku na jeden zespół. Tym sposobem otrzymujemy około 5-ciu tysięcy przedstawień rocznie.

Grywają różne rzeczy. Rekord w tym roku wzięły sztuki: „Łobzowanie“ i „Bolszewicy pod Warszawą“ Czaplińskiej. Wieś szczególnie lubi rzeczy humorystyczne; w środowiskach robotniczych im krwawszy dramat, tem większe ma powodzenie. Biorąc wedle podziału terytorjalnego, t. zw. Kresy przepadają za utworami treści patriotycznej: „Kościuszko pod Racławicami“, „Kościuszko w Petersburgu“, „Dziesiąty pawilon“, „Bolszewicy pod Warszawą“—oto repertuar kresowy. Z wielkiego repertuaru grywana bywa „Balladyna“ i „Dziady“.

Centrala „Związku“ usiłuje wszystkim tym poczynaniom przyjść z pomocą.

I tu podkreślić trzeba, że Związek nie otrzymuje żadnych subsydjów rządowych, choć zdawałoby się, że jest instytucją, zasługującą na uwagę i poparcie czynników państwowych. Mimo to zdołał zorganizować wypożyczalnię kostjumów i rekwizytów teatralnych, wartości około 6 tysięcy złotych. Wypożyczalnia ta jest dla Centrali jedynym źródłem dochodów, poza składkami członkowskimi. Jakkolwiek dość obficie zaopatrzona, nie może służyć wszystkim zespołom, a tylko położonym najbliższej stolicy. Potrzebne byłyby wypożyczalnie wojewódzkie.

Oba związki, lwowski i warszawski, wspólnymi siłami wydają wspomniany wyżej miesięcznik. Wydany również zostanie wkrótce katalog sztuk scenicznych, oraz inscenizacja Wesela Krakowskiego.

Związek pragnąłby podjąć akcję wydawniczą na większą skalę. W tece spoczywa mnóstwo utworów samorodnych pisarzy ludowych. Niektóre z nich zasługują na wydanie. Brak funduszy wszystkim projektom staje na przeszkodzie.

Posunął się jednak Związek do ogłoszenia konkursu na inscenizację Dożynek. Termin nadsyłania utworów—do dnia 1 grudnia 1926 r. Przewidywane są trzy nagrody: 2 po 500 zł i jedna 400 zł. Szczegóły w Nr. 4 „Teatru Ludowego“.

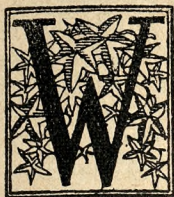
Jak widać z tego bardzo pobieżnego szkicu działalności Związku, jest to praca żywa, entuzjastyczna, przenikniona mocno wiarą w doniosłość celu, praca, która zaczepiając o niewyzyskane wartości psychiczne polskiego ludu, dobywa z nich żywe ziarno pod siw przyszłości.

H. C.



SAMOPOMOC ZBIOROWA

(Z działalności Rodziny Wojskowej i Spółdzielni zredukowanych pracowników umysłowych).



szeregu barwnych, pełnych temperamentu obrazków z życia przedstawia p. Regina Zienkiewiczowa w Polsce Zbrojnej warunki bytu rodzin wojskowych. Pan pułkownik, a więc... prawie generał... Zresztą szarża nie wiele zmienia stosunki finansowe. Pan pułkownik, co w umyśle Polaka z byłej Kongresówki utożsamia się z paradą rysaków i isniących jak szyby lustrzane samochodów ze świtą kozacką. Pan pułkownik nasz, dzisiejszy polski, o ile dba w naiwności swojej o bezwzględność, bezkompromisową czystość rąk, chodzi piechotą od rogatki do rogatki. Spotyka go się czasem w tramwaju. Rzadko kiedy w dorożce. Autem, tylko w sprawach służbowych. A pani pułkownikowa? Pożal się Boże! Od świtu do nocy w kuchni przy rondlach i garnkach, ze szczotką i ścierką od kurzu. Nieraz nawet przy balji. Drobnymi rączkami obszywa i karmi całą rodzinę, znosi sprawunki z miasta, szczęśliwa, jeżeli w ciągu dnia uda jej się przysiąść na chwilę.

Ordynans do pomocy?... Wielkie słowo. Gdybyż był, gdyby zawsze był do rozporządzenia, jak Walenty, Michał, Ignacy w pańskich salonach... Ale „przydzielony” do posługi oficerowi Jan Koziół, czy Michał Kulpa, czy Marcin Ozorek potrafi zniknąć na długie godziny, albo i dni całe. Wraci i wali do pokoju w pełnym rynsztunku z plecakiem narzmiętym „fasowanym” chlebem, żeby zaraportować, jako siedział w pace. Za co?

— A bez to, co nie zalutował po... ruc... te pa... pa...nu po...po...rucnika...

Pani pułkownikowa więc sama musiała palić w piecach, sama obierać kartofle i stawiać garnki ciężkie na kominie. A w kącie płakał mały Rysiek, z którym nie miał kto wyjść na spacer.

W rodzinie wojskowej pani domu albo musi pracować zarobkowo, żeby dopomagać mężowi w utrzymaniu i kształceniu dzieci, albo też wziąć na barki swoje obowiązki białej murzynki „do wszystkiego” i trwać na stanowisku, aż do wyczerpania wszystkich sił fizycznych. Inaczej runie gospodarstwo.

Oficer w większości wypadków skutkiem rozkładu zajęć służbowych nie może podejmować pracy dodatkowej, któraby pozwoliła na zrównoważenie budżetu. Więc pani oficerowa, jako jedyny czynnik, umożliwiający związane końca z końcem, coraz częściej staje przy kieratach wyrobniczych, do których nie jest przyzwyczajona i uważa się za szczęśliwą, jeżeli może im podołać.

Zresztą, życie oficera to jedna nieprzewidziana tułaczka, Dziś tu, jutro tam. Dokąd wezwie rozkaz. Jakże utrwalić zarobkową pracę żony, choćby ją nawet miała? Jakże umocnić gniazdo rodzinne? Jak zaopatrzyć je w najkonieczniejsze potrzeby, w sprzęty niezbędne do użytku codziennego, które rozpada się na skorupy i drzazgi w przeładownym waniu z miejsca na miejsce? Jak unormować naukę dzieci, które muszą zmieniać szkołę z dnia na dzień? Internaty i zakłady prywatne w większych miastach przewyższają uposażenie najdostojniejszego dygnitarza wojskowego. Był porucznika, czy generała staje się tak ciężki, że aż zachodzi pytanie, czy oficer zawodowy ma prawo zawierać związki małżeńskie

i tworzyć rodzinę w razie, jeżeli nie posiada majątku osobistego — on sam, lub jego oblubienica?

W razie choroby, lub jakiejś innej klęski nieprzewidzianej otwiera się piekło zasadzek, wyciągają macki długich lichwiarskie.

W początkach lutego 1924 r. powstało zrzeszenie apolityczne, mające na celu samopomoc zbiorową. „Rodzina wojskowa” zgromadziła żony, matki, niezamężne córki i siostry polskich żołnierzy bez różnicy szarż i stanowiska mężów. Zadaniem tej organizacji jest rozwinięcie w członkiniach zmysłu samowystarczalności, przygotowanie ich zawodowe i moralne do przetrwania ciężkich warunków bytu, uodpornienie ich, zapewnienie sobie wzajemnej pomocy. Większość kół prowadzi kursy zawodowe, kasy pożyczkowe „ostatniej dekady”, szkółki przygotowawcze, ogródki dziecięce, kursy gimnastyki, konnej jazdy, pływania i innych sportów, zależnie od warunków miejscowych.

Działalność stowarzyszenia, na czele którego stanęły jednostki energiczne, zdolne i pełne jak najlepszej woli, nie może, niestety, rozwinąć się w całej pełni. Jak większości naszych zrzeszeń, które muszą opierać się same na sobie, na skromnych opłatach członkowskich i bardzo zawodnych nieraz przedsiębiorstwach dochodowych, staje temu na przeszkodzie brak funduszy. Większość projektów, jak bursy szkolne i akademickie dla dzieci wojskowych, zamieszkałych na prowincji, jak liceum, hotele-pensjonaty i t. d., muszą czekać na zrealizowanie do lepszych czasów.

Jednak już dziś mimo krótkiego trwania organizacji, zawiązanej w różnych punktach kraju, stwierdzić można bardzo korzystny jej wpływ. Już to samo, że łączy i zspala rodziny wojskowe różnych formacji w garnizonie, wykluczając animozje i rywalizacje reprezentacyjne poszczególnych oddziałów, już to należy uważać za objaw niezmiernie dodatni.

Życie nasuwa szereg zadań, którym zarządy usiłują sprostać w miarę sił i środków. Tylko jak najliczniejszy napływ członków może zapewnić pełny rozwój zrzeszenia.

Na przykładzie Domów Zdrowia Polskiej Policji Państwowej stwierdzić można doniosłość czynu zbiorowego. Z drobnych składek (1 złoty miesięcznie) powstały w sześciu miejscowościach Rzeczypospolitej, zakłady, które umożliwiają funkcjonariuszom policyjnym i ich rodzinom tani pobyt kuracyjny (2 zł. dziennie za mieszkanie i pełne utrzymanie) w Busku, Bystrej, Druskiennikach, na Pomorzu, w Toruniu i Zakopanem. Ale składki zbierane są na ten cel niezwykle skrupulatnie. Każdemu pracownikowi, od najniższych do najwyższych kategorii strącaną jest owa złotówka przy wypłacie pensji miesięcznej.

Gdyby każdy oficer, wpłacał do kasy „Rodziny” taką samą drogą choćby tylko 50 gr. na miesiąc, już powstałby fundusz, mogący zapewnić byt internatom, bursom, kasom pożyczkowym, letniskom kuracyjno-wypoczynkowym i t. p. pożytecznym instytucjom.

Niechby myśl, rzucona w porywie gorącej życzliwości dla instytucji, nie przebrzmiała bez cicha.

* * *

Zredukowani w katastrofalnym 1925 r. urzędnicy i urzędniczki dali przykład wielkiej niepolskiej zaradności. Zamiast łamać ręce nad własną niedolą, lub kołatać od drzwi do drzwi biur, które jeszcze nie rozpoczęły rugów, żeby odchodzić naturalnie z kwitkiem, lub co najwyżej z łaskawie przez ramię pana dyrektora, naczelnika, referenta rzuconą obietnicą: „no tak, jeżeliby coś było, to może... ale proszę nie liczyć!... i starać się gdzieś indziej... nowych posad nie przewidujemy...” Zamiast narażać się na tysiące upokorzeń, odmów, rad i wskazań nie do przyjęcia, stworzyli zrzeszenie spółdzielcze w celu wynalezienia placówek zarobkowych. Spółdzielnia, licząca już 400 członków, dzieli się na dziewięć sekcji, w skład których wchodzi członkowie, ugrupowani według zawodów.

Sekcja handlowo-przemysłowa otrzymała przedstawicielstwo fabryki „Soczewka” i zabiega o inne. Sekcja techniczno-budowlana opracowała szereg projektów, złożonych już w urzędach miarodajnych czekających na rozpatrzenie przez iibegłych inżynierów. Sekcja budowy szos ma już roboty upatrzo-

ne i stara się o uzyskanie ich. Sekcja rzemieślnicza otrzymała pomieszczenie na warsztaty introligatorski i tapicerski, tymczasem zabiera się energicznie do odnawiania domów i mieszkań prywatnych. Bardzo dobrą myśl powzięła Spółdzielnia, postanowiwszy zorganizować na własnym statku komunikację między Helem, a Gdynią. Powstaje Sekcja bankowa, zabiegająca o kolekturę, sekcja prawna i buchalteryjna, które mają otworzyć biura porad i prośb. Sekcja kobieca projektuje podsekcje: hafciarstwa, krawiectwa, modniarstwa, gospodarstwa i t. p. Robione są starania o dzierżawę bufetu i restauracji w dwóch ruchliwych punktach miasta. Tymczasem urządzono tanią stołownię po 1 zł. za obiad przy ul. Świętokrzyskiej 15 m. 17.

Wszystkim placówkom Spółdzielni życzyć należy, aby jak najpomyślniej rozwijały zamierzenia swoje. Nadewszystko, aby stały jak najdalej od waśni partyjno-polityczno - partykularno - zawodowych, które zmiotły z powierzchni zbiorowego życia naszego tyle już ze wszech miar godnych poparcia i jak najgłębszego uznania poczynań.

C. W.



OBÓZ W LASKACH



Od pewnego czasu Komitet Przysposobienia wojskowego Kobiet do obrony kraju prowadzi t. zw. hufce szkolne. Jest ich niewiele: na terytorjum Warszawy tylko trzy. Tylko trzy szkoły żeńskie, stając w pierwszym szeregu pionerek tego ruchu, złożyły dowód zrozumienia, czym jest wogóle przysposobienie całej dorosłej ludności kraju do jego obrony i czym w wychowaniu kobiety polskiej stać się może czynnik służby wojskowej.

Służba ta pojęta jest zasadniczo, jako pomocnicza, jako służba w biurach, instytucjach gospodarczych, służba łączności, sanitarna i oświatowa. Przeszkolenie jednak musi mieć charakter wojskowy. Pracująca w armii jednostka musi czuć duchową przynależność do niej, musi znać organizację wojska, jego regulaminy, a nadewszystko przejętą być duchem karności wojskowej i poświęcenia.

Te rzeczy dać może i powinno ogólne przeszkolenie wojskowe.

W tym celu tworzy się hufce szkolne, do których należeć mogą dziewczęta od klasy 6-ej. Jak dotąd, jest to służba ochotnicza, nieobowiązkowa. To też na terenie Warszawy tylko 3 szkoły i przeszło 100 dziewcząt przystąpiło do tej pracy.

Szkoły te to: Seminarjum nauczycielskie imienia Orzeszkowej, Seminarjum gospodarcze i Seminarjum nauczycielek rzemiosł.

Jako dopełnienie i zilustrowanie praktyczne kursów, które przechodzą, urządzono dla hufców

szkolnych w początku czerwca r. b. obozowisko dwudniowe pod Warszawą.

Pierwszą taką próbę podjął Komitet; warto więc się z nią zapoznać.

Za górami i za lasami są te Laski. Właściwie niedaleko! Kilkanaście kilometrów od Marymontu i kilka od Powązek, ale, przy brakach naszej komunikacji podmiejskiej, dostać się tam niełatwo.

Obóz składa się z kilku namiotów, użyczonych przez władze wojskowe, popierające gorąco ideę przysposobienia wojskowego kobiet.

Zywności dostarczyło również wojsko. I oto w lesie, pod namiotami, przy szumie drzew, w wonne czerwcowe noce śpi mocnym snem młodość 60 dziewcząt, utrudzonych całodziennymi ćwiczeniami na świeżem powietrzu, marszem, pracą obozową. Tylko warta z karabinem na ramieniu chodzi przed obozem po wyznaczonej linii tam i zpowrotem, wsłuchując się w nocną muzykę mazowieckiego boru.

Zajęcia całodziennie dziewcząt w obozie polegają na ćwiczeniach wojskowych, zawodach sportowych itp. Więc strzelnice konusowe i flobertowe zajmują wiele czasu, więc mustra, gra w piłkę latającą i t. d.

Dodać trzeba, że całą wewnętrzną pracę obozową dziewczęta pełnią same.

Wieczorami, przy rozłożonych ogniskach, są pogadanki na tematy wojskowe, są śpiewy i bajki.

W niedzielne rano były dziewczęta wraz ze swoim dowództwem na mszy w kaplicy. Jest tu bowiem pod lasem, prowadzona przez zakonnice

kolonia dla niewidomych dzieci, filja Zakładu Matki Czackiej, na Polnej. Jest i kaplica.

Wszystko to razem nowa Polska, ta, która nadchodzi...

Eksperyment obozu udał się w pełni. Żadna z uczestniczek nie zachorowała, nie zasłabła nawet. Nastroj radosny. Na zapytanie oficera sztabu przybyłego na inspekcję, czy są zadowolone, pada, a raczej wyrывa się z głębi duszy odpowiedź: Oh, i jak jeszcze!

Po dusznej izbie szkolnej, po dusznej ulicy warszawskiej, te kilkadziesiąt godzin w lesie — to radosny sen. Każdy tu wysiłek miły, każdy trud — przyjemnością.

Widz, któremu udało się w puszczy mazowieckiej ten obrazek dziewczęcego obozu pochwycić,

bierze w siebie nową siłę najgłębszego przeświadczenia, że tylko taki system wychowania dać może krajowi dzielne obywatelki, zdrowe matki, ludzi, umiających rozwinąć w pełni zadatki swoich uzdolnień, uczynić rzeczywistością życiową zapal młodoci, pragnienia górne, heroiczne porwy...

Chowając młodzież w ten sposób, wychowamy nie pokolenia ikarów, lecz ludzi czynu, umiających realizować najbardziej uskrzydłone pomysły.

I w tem jest wartość wychowawcza przysposobienia wojskowego, niezależnie od jego celów bezpośrednich.

Obóz dłuższy sześciotygodniowy w okolicach Wilna funkcjonować zacznie od 1-go lipca.

Informacje w Sekretarjacie Komitetu — Krakowskie Przedmieście 99.

ELLEN KEY

ASSYZ

3

I nawet umierając, zaleca Klara swym mniszkom przedewszystkiem wierność dla zasad mistrza.

Właśnie minęło siedemset lat od chwili, gdy Franciszek, bogaty syn kupca w Assyżu, wobec ludności całego miasta zwrócił ojcu wszystko, co odeń otrzymał, aż do odzieży włącznie, którą miał na sobie i — spowity jedynie w róg biskupiego płaszcza — wyrzekł się bogactw świata.

Osobliwością we Franciszku było to, że on bogatych nie potępiał, lecz jedynie żałował. Ubóstwo nie było dlań wyrzeczeniem się, które on sobie nazначył dla zbawienia duszy, nie, było ono zwolnieniem się od ciężkiego brzemienia. Już przez swe dobroczynne marnotrawstwo w młodości pokazał Franciszek, jak był daleki od kierunku myśli swego zbierającego grosiwo ojca. Zaś najwyraźniej wyjawia on własny kierunek tych myśli w tem, że przedewszystkiem kochał ptaki, ponieważ one nic nie zbierały w stodołach, podczas gdy w stosunku do zapobiegliwych mrówek odczuwał pewien chłód.

Franciszek dał uczniom swym pełną prostotę naukę o szczęściu, gdy im zalecił, aby nie posiadali złota, nie srebra, dwóch ubrań, czy butów, lecz jedynie narzędzia do pracy, choćby ona była tylko rzemiosłem, lub polegała na podawaniu ręki. Pomagali więc oni zbierać chłopom opał, piec chleb, nosić wodę, zbierać orzechy, żąć zboże, zrywać grona i tłuc kamienie. Tak biorąc udział w pracy, robili od czasu do czasu uwagi, jakie to jednak dziwne, że nikt tak gorliwie nie pracuje nad zbawieniem swej duszy, jak dla wyżywienia ciała. A w godzinach wypoczynku, gdy Franciszek i jego przyjaciele dzielili z innymi robotnikami strawę i przytułek, rozmawiali z nimi o własnem swem nowem szczęściu, szczęściu, które promieniowało z całego ich istnienia i pozwalało im chodzić po kraju śpiewając, jak „grajkowie Boga“. Opowiadają o Franciszku,

że często śpiewał swe pieśni w języku trubadurów — południowo - francuskim — gdvż romantyczna rycerskość jego natury wiązała go z Francją. W języku naszych czasów można powiedzieć, że Franciszek głosił uproszczenie życia aż do granic ścisłej konieczności, nie z ascetycznej twardości, lecz jedynie przepelniony zmysłem piękna, który uznaje prawo rządzenia i podlegania, według którego człowiek powinien rzec się bogactw i trosk codziennych, jeśli jeszcze na ziemi pragnie czuć niebiański spokój i wolność. Franciszek widział na własnym ojcu jak najdokładniej, jak to dusza bywa opanowana przez „zarazę złota“, to też doświadczył on na samym sobie w tak wysokim stopniu czaru ubóstwa, że „kochał je niby oblubienicę“.

Fakt, że Franciszek w zewnętrznym znaczeniu tego wyrazu otrzymał stygmaty cierpień Jezusa, Jego pięć ran, jest głębokim symbolem stanu duchowego, w którym żył, stanu zupełnego współczucia. A ta siła uzdrawiająca, którą on wypromieniowywał z ciała i duszy czemże była, jeśli nie bezgraniczną miłością?

Gdy czuł potrzebę wewnętrznego odrodzenia, lub gdy powracał zmęczony licznymi długotrwałymi wędrówkami, do których skłaniały go jego zadania apostolskie, wtedy zawsze szukał wypoczynku i przywrócenia sił w samotności, na łonie przyrody, tej przyrody, wśród której najpełniej czuł Boga. Dzięki tej miłości, którą Franciszek obejmował nie tylko ludzi, lecz i wszystkie żyjące istoty, cały wszechświat. To też Sabatier nie waha się, aby nazwać to kosmiczne uczucie Franciszka panteistycznym. Szczególnie do Carcere kierował Franciszek swe kroki, gdy pragnął odzyskać pełnię wewnętrzną na łonie natury. Spokojna okolica Carcere z bogatymi gajami i innych drzew liściastych, gdzie teraz śpiewały



drozdzy i słowiki i wołała kukułka—to wszystko, co jeszcze zostało po tych lasach, które niegdyś pokrywały nagą dziś Monte Subasio, w której rozpadlinie znajduje się mała pustelnia. Tu, na waskim tarasie, na zielonym stolcu, ze źródłem, które Franciszek wywabiał ze skał, ze starym dzwonem, który zwykował na odprowadzanie przezeń nabożeństwo, ze szczątkiem, lub może odziemkiem ilmu, pod którym Franciszek kazał dla ptaków — jakże żywym on się nam wydaje! Widać go pochylonego nad gniazdami ptaków, którym niekiedy sam przynosił ziarenka, lub nad umiłowanym jego kwiatem cyklameną, która tu wysoko w górach najpiękniej kwitnie i pachnie. Widać go, jak spoczywa w przetkanym przez słońce cieniu drzew, lub jak szle w świetle gwiazd swe błogosławieństwo krajowi.

Ponieważ Carcere odległe jest tylko o godzinę drogi od Assyżu i ponieważ Franciszek kochał wędrówki po górach i lasach dla nich samych, można być przekonany, że on przychodził tutaj o każdej porze roku, skoro ducha jego czuje się tu tak silnie. Na innych miejscach — szczególnie w kościele Maria degli Angeli, zbudowanym nad jego celą w Porcioncola — panuje zimny i bezduszny przepych w rażącej sprzeczności z najistotniejszym duchem Franciszka. Tak samo też jest i w La Verna, sławnym klasztorze franciszkańskim na górze w Casentino, który zwiedziłam później.

Ta dzika, niedostępna góra była jedynym podarkiem, który Franciszek kiedykolwiek przyjął. Pomiedzy jej rozpadlinami, wąwozami i drzewami tyle tylko było wolnej przestrzeni, że można było na niej wzniesić małą chatkę, a później skromniutki kościółek. Tu pokazują jeszcze ten dąb, z którego ptaki oddawały Franciszkowi pozdrowienie, a potem inne jeszcze pamiątki. Przedewszystkiem zaś stopień w skale, na który Franciszek udawał się na długie posty, czuwanie i modlitwę i gdzie po dłuższej samotności przyjął stygmaty.

Pewien włoski pisarz mówi o Franciszku, że jego wewnętrzny spokój we wszelkich okolicznościach polegał na jego zupełnej pokorze. Doskonale pokornych duch staje się jasnym i cichym źródłem, odzwierciedlającym cały promieniujący Boga świat.

Obrazowy język legend pozwala nam wnioskować, jakie to masy słońca Franciszek wypromieniowywał. Ta dusza bez pragnień, wszystko miłująca, objawiała się w charakterze o tak nieskończonym słodyczy, tak niewypowiedzianym czarze, że był on wyobrażany jako Orfeusz czasów chrześcijańskich, który posiadał władzę nad dzikimi zwierzętami i kamieniami i przyciągał wszystkie istoty — od sokołów w chmurach, do konika polnego. To też dziki wilk po słodkim kazaniu Franciszka przestał szkodzić chłopom okolicznym, a jako pokutę naznaczył mu Franciszek. by żywił swego brata, wilka, który dlatego tylko był drapieżny, że był głodny. Ryba, którą Franciszek wpuścił do wody z powrotem, płynęła za jego łodzią, dopóki Franciszek jej nie pobłogosławił; jaskółki, które przekrzykiwały jego cichy głos, zamilkły na dany przezeń znak, tak, że mógł on kończyć kazanie, ptaszniak zaś na jego prośbę, zwolnił swe niewinne siostrzyczki, synogarlice.

A gdy go kiedyś — dla uchronienia od ślepoty, która mu groziła — przypiekano gorącym żelazem, Franciszek zawołał: „O ogniu, mój bracie, Bóg stworzył cię pięknym i użytecznym, bądźże dla mnie w tej godzinie miłośnierny i dobrotczyny.”

Ta dziecięca wprost niewinność charakteru Franciszka, ta pełna samozaparcia się energia, to współczucie głębokie skłoniło kogoś do porównania Franciszka z Shelley'em. A te same właściwości skłoniły znowu Sabatier'a, aby go porównać z idealną postacią bohaterką Italii nowoczesnej — z ostatnim rycerzem — Garibaldi'm. Ale najbardziej decydujące podobieństwo zachodzi między Franciszkiem i Mistrzem, którego naśladowanie dało życiu jego kształt i barwę.

Że patos Franciszka stał się ascezą i miłosierdziem, że znajdował on sens życia w niebie, nie zaś na ziemi, to należy do cech charakterystycznych jego wieku. Lecz pełnym po wsze czasy znaczenia dowodem potęgi ducha w kierunku własnego rozwoju, jest ta doskonałość, do której doszedł w pokorze i panowaniu nad sobą, w zduszeniu w sobie każdego osądającego słowa, w zachowaniu niezłomnej łagodności i potulności także i w urazach, a więc ten stan ducha który Franciszek sam nazwał „doskonałą radością”.

Asceza Franciszka nie miała nic wspólnego z odgradzaniem się od świata. Przeciwnie, chciał on, wzorem Jezusa, chodzić po świecie, aby rozlewać ową miłość nad wszystkimi istotami. I to właśnie prawdziwa mistyka brzmi z jego słów: „Nosimy zawsze z sobą naszą celę, bo ciało — nasz brat — jest nam celą, a dusza jest pustelnikiem, który tam mieszka dla rozmyślenia o Bogu i modlenia się doń. Gdy dusza w celi ciała nie znajduje pokoju, wtedy i cela klasztorna mało jej przyniesie pożytku.”

Jeżeli byśmy nawet nazwali wrogiem dla kultury głoszenie przez Franciszka ubóstwa, to jednak jego własne pragnienie piękna było bardzo głębokie. Jeszcze przed swem nawróceniem jest on opisywany jako śmiejący się i grający, żądny swobody i miłujący piękno; to też pokonanie wstępu przed rzeczami przykreimi było pierwszym zadaniem dla ascezy nowonawróconego. Ten zmysł piękna znajdujemy nie tylko w jego młodzieńczo gorących marzeniach o królestwie bożym na ziemi, lecz także w jego marzeniu o niebie. Prosił on o to, aby już na ziemi móc mieć pojęcie o szczęśliwości wiecznej, a ta jego modlitwa została wysłuchana w ten sposób, że objawił mu się anioł, który raz jeden tylko przeciągnął smyczkiem po skrzypcach. Piękno tego jednego pociągnięcia smyczkiem było tak niewypowiedziane, że Franciszek miał uczucie, że gdyby anioł raz jeszcze pociągnął smyczkiem, wtedy on umarłby nagle ze szczęścia.

Duch, jak ten, którego Dante ze słuszością nazwać mógł tutto serafico in ardore, spala szybko swego „brata-ciała”. Franciszek był już przed południem swego życia strawiony. I nieświadomie legenda o świętym wypowiedziała także, że Franciszek umarł od ognia, w którym żył, w opowiadaniu, że blask obok łoża zmarłego był tak wielki, że skowronki, przylatując, że to właśnie słońce wschodzi, zanuciły wśród nocy swe pieśni poranne.



MARJA PAWLIKOWSKA

Djabolo

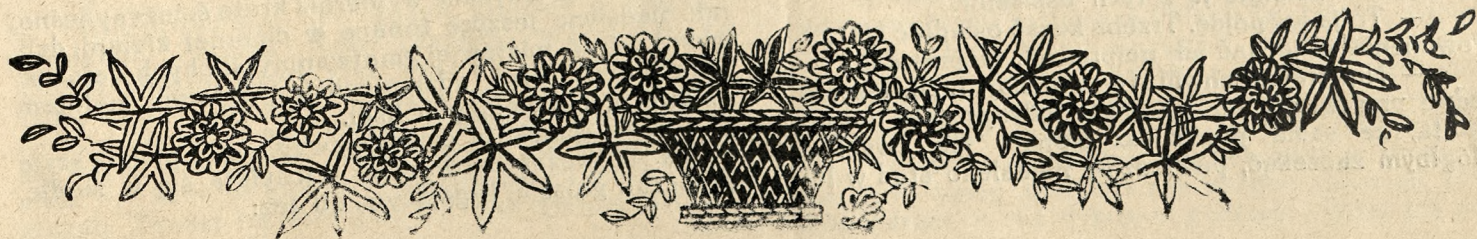
Grasz mojem sercem
 W djabolo —
 Bo lubisz zabawy
 Najradsze.
 A ja stoję z boku
 I patrzę,
 Aż mnie załzawione oczy bolą.
 Rzucasz!
 Czekasz!
 Serca mego niemal
 Przechylona, wyprężasz sznurek —
 Ach, rzuciłaś za wysoko
 W górę!
 I Bóg moje serce
 Zatrzymał!

Topielec

Skoczył w morze —
 Ciemne i mordercze...
 Ześlizgnął się po taflach
 Cienia...
 Miał bardzo ciężkie serce...
 Nie musiał przywiązywać
 Kamienia.
 Przez piętra wodne
 Przeleciał —
 Minął sepię —
 Piękną i szkaradną...
 I spoczął na dnie wśród kwiecica —
 Z takim sercem
 Idzie się
 Na dno...

Odjazd

Kłaniasz mi się z pokładu —
 Wspaniały, szalony!
 Odjeżdżasz — Bóg wie dlaczego!
 A w ślad za Tobą sen mój,
 W łódeczce zrobionej
 Z dawnego listu
 Słodkiego.
 O, już się zanurzyła w morzu do połowy!
 Nie dogoni Cię.
 I nie wróci.
 Masz tam blisko przy sobie
 Biały pas ratunkowy...
 Czemuś go Miłości
 nie rzucił?



Z. REUTI-WITKOWSKA

O ZŁOTYM GRODZIE



Był sobie stary Król i miał trzech synów, dzielnych wojaków. Aż przyszło dnia jednego umierać staremu Królowi, — powiadają, na dziwną chorobę, co zwie się — tęsknota. Stary Król chorował długo i majaczył coś we śnie o Złotym Grodzie, który jest za siedmią błękitnych rzek i za siedmią złocistych gór.

Jeździł stary Król niegdyś, dawno! — był wtedy jeszcze bardzo młodym Królem — jeździł na wschód i na zachód, na północ i na południe, ale Złotego Grodu nie znalazł. Wrócił tedy do swego królestwa i chorował — długo. A kiedy już umarł, we trzy dni syn, Królewicz najstarszy, osiodłał karego rumaka i jechał za słońcem trzy dni i trzy noce, prosto przed siebie. Już i czwarte słonko wzeszło, gdy nagle ujrzał przed sobą Królewicz siedem błękitnych rzek, a dalej siedm złocistych, jasno lśniących gór... Ale nie rzeki to były błękitne: to tylko niebo dnia tego cudnie błękitniało; wody rzek siedmiu zwykle były, szare. Ale nie góry to były złociste: to tylko słońce dnia tego cudnie lśniło; skały gór siedmiu zwykle były, szare — ot, piaskowiec sobie ladajaki.

Nie Złoty bo też był Gród! Gród ów za siedmiu szaremi rzekami, za siedmiu szaremi górami, był to

Małpigród przesławny. Małpikról jednak przyjął Królewicza tak bardzo gościnnie i tyle figlów małpich, ucieśnych pokazał, i dał mu córeczkę własną, małpeczkę, za żonę, że został Królewicz w Małpigrodzie i wmówił w siebie wkońcu, że to oto właśnie Gród Złoty! Tak dobrze wmówił — aż wszyscy uwierzyli!!!

A kiedy trzeci już miesiąc blednął z żałości po śmierci starego Króla, wyjechał syn, Królewicz wiekiem średni; osiodławszy gniadeo rumaka, jechał ku słońcu — a słońce właśnie wschodziło. Jechał prosto przed siebie trzy dni i trzy noce. Już i czwarte słonko wschodzić miało: a wzeszło tak pięknie, że zapatrzył się Królewicz i pędził przed siebie coraz prędzej, prędzej — od wschodu do wschodu!

I pędził tak życie całe, bo zapomniał, czego szuka: i szukał już nie, aby znaleźć, jedno, aby szukać.

A kiedy trzecia już trawka na mogile starego Króla porosła, wyjechał syn, Królewicz najmłodszy, osiodławszy białego rumaka, i jechał nocą gwiazdzistą, patrząc w najjaśniejszą z gwiazd.

Mówią, że rankiem znalazł Gród Złoty. Ale wy pewnie myślicie, że ranek był taki, jak co dnia na wiosnę, po krótkiej majowej nocy?

A mnie się coś zdaje, że ranek to był wielce jakiś osobliwy.



WANDA MIŁASZEWSKA

GRANDE-GRILLE

Szkic powieściowy.

Drgnęła, usłyszawszy to imię, które tylekroć wymawiał z upojeniem.

— Tak, — odparła cicho — chcę ci pomóc, Gyurka.

— A więc... Czy istotnie mogę liczyć, że mi dasz konia? Dobrego konia, bo przecież stąd do R. mamy pięćdziesiąt wiorst. A jednak—to jedyny ratunek dla mnie.

— Tak, tak, jedyny ratunek...—powtórzyła jego słowa zupełnie mechanicznie i zaraz dorzuciła ze smutnym uśmiechem:

— Dam ci dobrego konia, Gyurka. Nie obawiaj się, zdązysz z pewnością do swoich.

Chwycił jej rękę i ucałował z uwielbieniem. Delikatnie wysunęła ją z tych uścisków:

— To ja już pójdę. Trzeba kazać osiodłać klacz... Powinieneś odjechać jak najprędzej, nieprawdaż?

— Nie tracąc chwili. I — słuchaj, Lizo, jeszcze jedno przychodzi mi na myśl: gdybyś tak powiedziała, że sama pojedziesz konno, jak zwykle... Mógłbym zaczekać, powiedzmy niedaleko stąd w le-

sie, albo jeszcze lepiej tam, gdzieśmy kiedyś razem jeździli, pamiętasz? pod „Szkłaną Górą“. Lepiej, by nikt nie wiedział, że byłem tutaj. To nawet lepiej—dla ciebie. Wrócisz później do domu piechotą i opowiesz pierwszą lepszą historję...

— Tak... — rzekła, jak echo — Wrócę i opowiem pierwszą lepszą historję...

Niewesoła to była przejażdżka, chociaż klacz wypoczęta rwała się do biegu, a słońce świeciło tego dnia dziwnie jasno, jak gdyby na świecie nie rozpanoszył się już listopad.

Ludwika umyślnie wybierała kręte ścieżyny leśne, tak niedawno jeszcze tonące w ciemnej zieleni, dziś widne wśród misternej gmatwaniny suchych gałązek, pozacierane tylko gdzieniegdzie rdzawym nalotem ostatnich, butwiejących liści.

Klacz parskając cichutko, wygiąwszy piękną szyję w łuk. Wówczas baronówna pocyniała sę w siodle, szepcząc głosem, drgającym od łez:

— Grande-Grille... Moja ty droga Grande-Grille...

Gyurka Francegh oczekiwał już w umówionym miejscu spotkania.

Zeskoczyła na ziemię i podczas, gdy przedłużał strzemię na swoją miarę, stała tuż obok, gładząc ulubienicę po szyi, po krótko strzyżonej grzywie i po nozdrzach miękkich, jak aksamit

Oficer był bardzo wymowny. Teraz, gdy już uzyskał pewność wyjazdu, w gorących słowach dziękował za okazaną pomoc i wyrażał głęboki żal, że okoliczności nie pozwalają mu pozostać dłużej.

— Wiesz chyba, droga Lizo, jak bardzo pragnąłbym spędzić z tobą choć kilka godzin, tak dla mnie słodkich...

Słuchała z roztargnieniem, nie rozumiejąc prawie słów, ani spojrzeń, przepojonych melancholią rozstania. Cała jej uwaga skupiona była na słicznej głowie Grande Grille. Klacz, jakby przeczuwając, że moment rozłąki już nadszedł, poczęła nagle okazywać niepokój. Raz po raz rżała cichutko i obracała ku swojej pani rozumne, piękne oczy.

W tej chwili baronówna pojęła, jak ciężko jej będzie wyrzec się tego zwierzęcia, jedyne żywego stworzenia, które darzyła przyjaźnią niemal ludzką.

I gdy oficer, już z konia, wyciągnął ku niej rękę, pomyślała z bólem, że oto ukochany człowiek, odjeżdżając na zawsze pozbawia ją jedynej istoty, dla której miała w swym starganem sercu osobny kącik żywego uczucia miłości...

A później, brnąc naprzelaj przez pola zamarte, cała skąpana w słońcu, które, choć jasne i złote, nie miało już siły ogrzać jej rąk zziębniętych, obmyślała leniwie i bez wiary w jego potrzebę, to kłamstwo, aby mu nadać cechy prawdopodobieństwa. Ujrzała w wyobraźni zdumioną twarz starego masztalerza i jego surowy pełen wyrzutu wzrok, gdy się dowiedzie, że Grande-Grille już nie wróci. Usłyszała nieomal własną odpowiedź krótką i suchą, prawie ostrą:

— Trudno. Tak się stało...

I nagle, siadłszy na pierwszym napotkanym kamieniu, zasłoniła twarz obu rękami, aby się móc w tej samotności, w tej pustce wypłakać dowoli, póki nikt tego nie widzi.

.....

Jednakże było widocznie sądzone, że baronówna spotka raz jeszcze na swojej drodze Grande - Grille.

Zdarzyło się to po latach, w jakimś obcym mieście, w tłumie ludzi zupełnie obojętnych, na bardzo ruchliwej ulicy.

Gdyby stary masztalerz mógł zobaczyć w tej chwili „jaśnie panienkę”, którą swojego czasu oprowadzał po ogrodzie na wierzchołku samego „jaśnie pana” — nie uwierzyłby pewnie, że to ona, lecz pokiwiałby głową, szepcząc:

— Dużo czasu minęło, a przeważnie od chwili, gdy panienka na ten świat przysła...

Ale tu, w sercu wielkiego miasta, wszyscy byli zanadto sobie obcy, zanadto sobą zajęci, aby jednym bodaj ciekawszem spojrzeniem obdarzyć kobietę o twarzy niezbyt już młodej, jakby zgaszonej, ubraną niezbyt wyszukanie, przemyskającą się, jak cień, pod murami wysokich kamienic.

Baronówna szła wolnym krokiem, bo po co było się śpieszyć! Miała jeszcze zawsze aż zawiele czasu, z którym nie wiedziała, co robić, chociaż nie posiadała już pięknego pałacu, pięknych koni i służby w pięknej liberji. Dla niej jednej przysłowie „czas — to pieniądz” zostało pustym dźwiękiem, bowiem nie nauczyła się oceniać wartości obu tych istot wszechmocnych.

Tak samo wolno, o kilka kroków zaledwie posuwał się mały wózek z pieczywem, zaprzężony w chudą szkapę o bokach zapadłych i wystających kościach.

Na przecięciu dwóch ulic zatrzymano oboje: kobietę i wózek, aby przepuścić nawałnicę samochodów, groźnie porykujących w pędzie.

Wówczas baronówna Ludwika spojrzała przełotnie na szlachetny łeb zwierzęcia, opuszczony ku ziemi i nagle jakieś żywsze płomyki zatliły się w jej przygasłych oczach. Zanim zdołała sobie uświadomić śmieszność samego przypuszczenia, usta jej powiedziały mocno, wyraźnie, z najzupełniejszą pewnością:

— Grande-Grille!

Stara, zabiedzona klacz podniosła głowę i obróciła ją w stronę, skąd pędły owe dwa wyrazy. Na przeciąg jednej sekundy spotkały się dwie pary zmęczonych oczu, zadziwionem, żalosnem spojrzeniem mierząc przestrzeń i czas, który upłynął.

A w chwilę potem rozdzielił się tłum ludzki i już się nigdy nie dowiedziała baronówna Ludwika, czy to imię samo, czy może tylko dźwięk głosu obudził

w znużonem zwierzęciu jakieś zamierzchłe wspomnienia.

KONIEC

MARJA KUNCEW CZOWA

PRZYMIERZE Z DZIECKIEM

Nie pozwolono jej jednak cierpieć w biernem poddaniu. Żadano męki czynnej — pracowitej na sposób pożaru, który żrąc wszelkie zapory, niszczy sam siebie. Ani śladu prośby nie było we wyroku doktora: nakazywał i groził. Kosmata łapa krzątała się wśród omdłałości ciała, niczem skorpion wśród ziela. A furje w kitlach — niecierpliwe i wściekłe — szczyły Teresę na dziecko, jak psy gończe szczyją myśliwego na wilka.

Kiedy, zdyszana na śmierć zaszczuca do plugawego obłędu, potworna i ślepa ze strachu, chciała spłynąć z łoża tortur nakształt biednego strumienia, co bez pamięci pada w przepaść — wychynęły z brzasku żelazne paszczęki, kleszcze złowrogie i opasłe butle jodyny...

Tłuszcza oprawców przywarowała w ciszy, by na dane hasło dziesiątkiem zębów szarpnąć łono i rozdrzeć je na dymiące ochłapy. Wówczas pod

skorupą męki zaczął wzbierać krzyk: pęczniał, podwazał skorupę... aż pękł, niby wrzód ogromny, bryzgając słowami, jak ropą. Na sinych falach światu rozlał się ów wrzask gryzącymi strugami, kasał, pieniał się, pluł — szalał, cichł i skomlał po szczeniu. Teresę nakrył gorący całun krwi.

O tej to chwili lampy nabrały ostatecznie pozorów bladych od bezsenności tęczywek. I zaraz ból stał się leniwy, ni to zerwana struna i lepki — rzekłbyś dziegieć. Z jednej żyły w drugą spływała gęsta, czarna ciecz. Odstąpili ludzie, płakało coś w kącie cienko, szkliscie. Podobno urodziło się dziecko. Teresa już spała.

III.

W doniu Teresy zamieszkała malutka strzyga. Złośliwe stworzenie, wszczepione w życie, jak drzazga w ciało.

W chwilach cichej, a intensywnej pulsacji domowego organizmu, kiedy dzień wzbierał sokami i, zdawałoby się, że powietrze zasklepia się wkoło Teresy kształtem kokonu, aby pani mogła — spokojna — bytować wśród swoich sprzętów, sukien, książek i najwłaśniejszych myśli, wytryskał nagle krzyk z gutaperkowej twarzyczki. Gryzący, niby uderzenie różgi, ten krzyk szarpał każdą godzinę. Matka podrywała się, podobna wróbelcy, i biegła do kosza, który był — zupełnie, jak owa francuska „boite à surprises“ — wiecznym źródłem spazmu. Zawsze jednakowy — obrażony i natarczywy — wrzask dziecka nigdy nie tłumaczył po ludzku, czy żąda jedzenia, czy wścieka się pod naciskiem jakiegoś bólu, czy oznacza chęć dotknięcia piętą sufitu, czy też po prostu złorzeczy mokrej płachcie.

Głos z kosza nie dopuszczał dyskusji, nakazywał zabiegi natychmiastowe, radykalne i skuteczne. Podobny wahadłu, które trąciła niebaczna ręka, przybierał na gwałtowności z każdą sekundą, podniecał się sobą i bujał w przestrzeń coraz ostrzejszy, coraz szerszy, póki nie przesilił się w sobie i nie przeszedł w tik-tak regularnej obstrukcji. I gdybyż to można było nie drzeć za dotknięciem aroganckiego wezwania, gdyby nie skręcały się tak wszystkie trzewia pod chłostą niezrozumiałych emocyj.

Teresa — choć niechętna i skrzywdzona — krążyła jednak dniem i nocą w orbicie krzyczącego kosza. Przepadło gdzieś niepowrotnie umiłowane „chcę“ i „nie chcę“. Otworzyła się era grubiańskich musów. (Początek jej, niczem rana, krwawił w czełusciach tej nocy, kiedy Teresa poznała prawdę o ciele. A także poznała prawdę o samotności). Nie lubiła Teresa wcale małej strzygi o sardonicznie podrygujących policzkach, ale stało się tak samo przez się, że wrzask tejże strzygi unormował wedle swoich niedocieczonych zachcianek wszystkie chwile matki.

I — co dziwniejsze — osoba, która na odległość chociażby kilku pokoi od dziecka czuła się zbuntowana i zła, stając oko w oko z prześladowcą, patrzyła nań pokornie.

Czas odtąd został pokratkowany wedle potrzeb przyrodzonych ssaka. I, podczas wędrówek po miescie, w toku niefrasobliwej rozmowy, lub między jedną, a drugą tyradą aktorki, pani uczuwała nagle

targnięcie się jakichś nieznanych jej splotów własnych żył, czy jelit, które to targnięcie mówiło: strzyga woła jeść. Jak lunatyczka, natychmiast, kierowała kroki w stronę krzyczącego magnesu.

Było to, jak gdyby pępowna nie pękła jeszcze między nią, a małym tworem: każdy gwałtowniejszy skurcz tamtego ciała przyciągał Teresę ku niemu z siłą organiczną.

Dziecko rzuciło zły czar na całe życie. I cokolwiek przedsięwzięła Teresa obracało się w porażkę, a wkońcu zawsze prowadziło do wysługiwania się „skrzynce z niespodzianką“. Wielokrotnie usiłowała matka dźwignąć się na dawny, utracony przez katastrofę, poziom egzystencji; bardzo mocno pragnęła zasnuć ruchliwością wyrwę między dawnym, a nowym czasem.

Próbowała śpiewać. Jednak, ledwie zdołała melodia nasiąknąć ciepłem krwi, ledwie rozedrgały się i zabrzmiały pełnią dźwięku struny głosowe — na dnie krtani, tam gdzie zamiera pieśń, a jęk się почина, w tym samym punkcie akustycznym ożywała nagle blizna niedość jeszcze zasklepiona, blizna poryku „tamtej nocy“. Oczywiście gardło przedstawiało natychmiast wibrować słodyczą, a serce wypełniała gorycz.

Kiedys dzień przyszedł tak niewinny, tak w prostocie swej rozbrajający i godzien zaufania, że Teresa zgodziła się pójść na tenisa.

Wśród parku, na dnie zielonej studni (cień kasztanów był, niby studnia zielona) błyszczał kort. Na spotkanie wyszedł chłopak, jak igrzys ciężki od sprężonej siły; podszedł wolno, przeciągając leniwie mięśnie nóg, rzekłbyś stalowe linki, gorące od słońca. Za chłopcem, ni to dwie Niki służące Hermesowi, niosły się dwie dziewczyny.

Rakiety we wzniesionych dłoniach przypominały broń jakąś swywolną, stworzoną ku żartobliwym zapasom. Piersi dziewczyn były twarde i malutkie.

Zaczęła się gra. Piłki śmigały tuż nad ziemią, podobne białym jaskółkom. Nie kwapił się ku nim zbyt Niki, raczej opędzał się od natrętów ledwie znacznym falowaniem ramienia.

Mimo tę nonszalancję, pociski, godzące w jego wielostrunną tarczę, odskakiwały z furją do punktu wyjścia, trzymając w napięciu hulaśliwą energję panien.

O ile ruchy chłopaka były skąpe i dopasowane do każdego ciosu ze ścisłością maszyny, o tyle Niki — walcząc — pisały, jak dzieci. Szatki to wznosiły się motylem skrzydłem przy podskokach, to — w chwili pędu — przylegały ciasno do giętkich ramion i bioder.

Z tych rzutów, przysiadów, przegięć, lotów i wirowań składał się fryz czarujący, który nad wyraz zrozumiale opiewał powaby młodości.

Teresa stała po stronie Hermesa, więc mało zostawało jej do czynienia na placu. Tem zachłanniej patrzyła na dziewczyny. Ich gesty były dla niej do niedawna najcodzienniejszą zwrotką własnego życia, przynętą nieświadomioną, która opływała kształt naturalnie, jak fałdy sukni; wystarczyło pod-



nieść rękę, lub zgiać kolano, by z członków tych skrzesała się iskra piękna. Teraz ciało matki było zahukane, do cna wyzute z pewności siebie, całe nasiąknięte jeszcze pamięcią o ranach.

Frywolna biegająca po korcie wydała się Teresie rozkoszą odjętą na zawsze od jej mięśni i nerwów. Statecznym krokiem podchodziła pilce naprzeciw, albo usiłowała przegięciem postaci nasztukować długość ramienia i rakiety. Czyniąc to wszystko, nienawidziła siebie i z rozpaczą myślała o nieskończonych udrękach starości.

W domu — w rzadkich godzinach ciszy (strzyga sypiała czasami) — Teresa, schylona nad robotą, wyczuwała nagle jakąś niewygodę, nieznaną jej dawniej, to piersi ciężły i rozpierały stanik. Prześliczne piersi, stokrotki wdzięczne — tak upragnione oczom i ustom mężczyzny, tak bez troskie — piersi Teresy stały się rzeczą cudzą przedmiotem grubego użytku, stały się łupem ssaka. Wiadomo było, że kiedy wrzask z kosza bucha szczególnie natarczywy, trzeba ująć w dłonie różowe czarki i pozwolić wargom żarłoka, by niezdarnie szarpały to, co nie zaznało innego dotknięcia prócz pieczyoty. Zresztą nowe to już były piersi — nie te sny opalowe, ledwie znaczne wśród falistości ramion; raczej krzyczące magnolie, nalane pychą i mlekiem.

Wszystkie suknie zostały poszerzone i Teresa — ze śmiercią w duszy — obnosiła po świecie nienawistny przepych swego ciała.

Raz na lancingu... Zapomniała o wszystkim. Trzymał ją w objęciu piękny tancerz. Wróciły dawne młodzieńcze rozkosze. Oto muzyka gorącym oddechem całuje usta. Rytm powraca członkom gibkość; stalowa słodycz bioder męskich głaszcze i podnieca. Sama radość, sam dosyt, samo okrągłe jedwabne „tak“ przemawia wszędzie; i w oczach, patrzących z zamglenia szampa, i w cielistem jaśnieniu lamp, i w zapachu perfum — ciężkim, jak warkocz odaliski — i w niemądrej melodii fox-trotta. Teresa czuła jak topniał w małmazji tańca pancerz jej kalectwa. Odzyskiwała siebie.

W którymś tam bostonie tancerz przygarnął ją mocno do siebie. I... odrazu pierzchnęło zaledwie rozpoznane szczęście: piersi — zamiast sprężyć się rozkosznie — zabolęły, jak rana. Nie były już własne (ukochanie i pieczyota) — były wezbranym owocem, karmem żarłocznego ssaka. Pani natychmiast zrozumiała nakaz, rzuciła pięknego tancerza i, co tchu, wkładać zaczęła rękawiczki, myśląc ze smutkiem o dalekiej drodze do domu.

W tychże czasach zmienił się gruntownie stosunek Teresy do ludzi. Stwardniało serce i zahartowała się nerwy. Przed urodzeniem dziecka każdy ból cudzy wydawał się zdrowej, obcej wszelkiemu cierpieniu, krzywdą, na której wyrównanie nigdy dość czułości, dość uśmiechu i darów. Teraz, kiedy na biodrach nosiła siateczkę perłowych żyłek, z których każda miała sens hieroglifu, upamiętniającego spazm nieludzki — teraz złe dole bliźnich

wydawały się zdarzeniami bez treści. Dla siebie żądała Teresa darów, czułości i ofiar bez liku, by zabalsamowały i uśpiły na wieki okrutną krzywdę jej ciała.

IV.

Mijały miesiące. Niemowlę potłuszczało. Stało się różowe i pogodne. Z twarzy jego spadła maska strzygi — ukazała się szczęśliwa buzia jedynaka. Co najważniejsze — pośród ulewy wrzasków, płynących z kosza, wyodrębniły się pewne dźwięki w barwie stałej, które miały moc kierowania popłochów matki ku ściśle wiadomym czynnościom.

Malec z wolna odwykał od narowów przedziemskiej egzystencji i zaczął na ludzi zwracać spojrzenia ludzkie. Ku pociesze Teresy, nieprzyjaźń i natarczywość, przyniesione na świat z pepiniery, rojącej się gdzieś na dnie wulkanu, ustępowały z wolna miejsca słonecznej głupkowatości dziecka.

Z każdym dniem egzotyzm małego stworzenia oblażył zeń wraz z czerwoną skórą. I coraz mniej był ten człowiek podobny do fetysza Aszantów, a coraz więcej do Jędrusia.

Rzeczywiście... Po sześciu miesiącach dopiero imię chłopczyka zaczęło nabierać cech prawdopodobieństwa. Matka nauczyła się stroić w nie syneczka, jak w piewsze włóczkowe butki — bowiem wiadomem się już stało, że to dzieciątko chce mieszkać w rodzinie i że te nóżki będą chodziły po ziemi.

Ponura groteska nasiąkała barwą sielanki. Więc do domu, rozgromionego przez katastrofę Teresy, z wolna wracał pokój.

Z czasem przy stole stanęło nowe krzesło — wysokie, a malutkie — i na tym tronie celebrował Jędrus nad miseczką kaszy. Żaden obrządek dorosłego świata nie dałby się porównać z Jędrusiową ceremonią jedzenia ryżu. Nigdy kochanek nie śiedział z taką egzasperacją dłoni kobiecej odpinającej suknię, nigdy myśliwy nie obejmował wzrokiem tak srogim odległości między lufą, a cielskiem niedźwiedzia, jak zaciekłe Dzidzio ujarzmił i wysysał oczami każdy ruch pełnej łyżeczki.

Ciało ujęte w uścisk krzesła przeżyło się ku kaszy, jak heljotrop ku słońcu; tęczy, aż czarne od nabożnej zgrozy, jedły ryż, zanim buzia zdołała jeszcze pochwycić ofiarę. Cała istotka: policzki, frywolny czub na środku głowy, ręce bezradne, a — mimo dołków — namiętne, nogi, rozdęty z wysiłku nosek, wszystko czyhało na ryż z zajadłością tygrysa, a z komizmem lalki.

Wielki młask szedł z nad talerza, nianka dostawiała wypieków, a Teresa — niby pszczoła w lipcowe południe — napełniała się słodyczą aż do zmęczenia. W miarę jak kaszy ubywało z miseczki, wzrok Jędrusia łagodniał, wolniało naprężenie postaci i po twarzy — podobne obłoczkom — zaczynały snuć się kaprysy. Nie te zgrzybiwe, urodzone ze swędzenia dziąseł, z głodu, albo z nienawiści ku mechrowatemu cielsku nocy; nie — kaprysy różowe, leciutkie, niby gnomy i niezmiernie śmieszne (c. d. n.)



Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

21

VII U SZCZYTU.

„...L'an mille quatre cent vingt neuf
Reprit à luire le soleil!”

Christine de Pisan.

„Dziś mój zenit! moc moja dzisiaj się przesili!”
A. Mickiewicz.

Zwycięska armja, zgromadzona znów w Orleanie, oczekiwała radośnie przybycia króla. Dzielni mieszcianie narówni z rycerstwem zasłużyli na takie odwiedziny — to też uwierzyli już w nie tak dalece, że uniesieni szczęściem, przyozdobili swe domy i ulice, czem tylko mogli. Niestety, daremnie...

Król w Sully, nad Loarą, korzystał właśnie ze wspaniałej gościnności swego bogatego faworyta i wierzyciela La Trémouille; ten zaś bał się z pewnością, by w uwolnionem niedawno mieście, w atmosferze triumfu, nie podległ Karol z nadto wpływowi Joanny...

Jej to imię, opromienione nimbem nowych zwycięstw, niósł już po całej Europie wicher sławy.

W Niemczech, we Włoszech, pisano o niej scholastyczne traktaty, pełne wątpliwości zawiłych: czy jest aniołem w ciele kobiety, czy też ludzką ma naturę? Z Medjolanu wysłano mnicha, aby się naocznie przekonał, czy „Dziewka” taka naprawdę istnieje...

Stara, uczona patryjotka, szlachetna Krystyna de Pisan, pisze na jej cześć wzruszający poemat, w którym, poprzez całą naiwność formy, przebija jasno ogrom olśnienia i uwielbienia.

„Jam — ci Krystyno, co w murach klasztornych
Płakała owo jedenaście roków,
Furtą, zawartą, od czasu onego,
Gdy syn królewski, Karol — śmiałem — li wspomnieć?
Uszedł z Paryża, zdradą przymuszony...
Ninie, raz pierwszy śmieję mi się usta!
W tysiąc czterysta dwudziestym dziewiątym
Roku to pańskim — znowu błysło słońce!

.....
Już mi nie troskać się niczem, albowiem
Ujrzały oczy to, czegom pragnęła...
Widzim wdy sprawy idące, tak wielkie,
Iżeśmy zgoła czekać ich nie śmieli!

.....
Hei, jaki zaszczyt naszej płci niewieściej!
Widać, jako ją bardzo Bóg miłuje,
Skoro on cały wielki lud, królestwo
Swe spustoszywszy sam, tak zeszedł na psy —
A przez kobietę wskrzeszon, wzmógł swe siły,
Czego mężowie by nie dokazali!”

Orędzie królewskie, pierwaj dość jeszcze wstręmięzliwe w przyznawaniu Joannie zasługi uwolnienia Orleanu — teraz, po Patay, wymienia ją otwarcie, jako wodza, wspólnie z księżętami Vendôme i Alençon. Ten ostatni rozpowiada szczerze, że Dziewica okazała w sprawach wojskowych takie doświadczenie, jak stary dowódca, po 20-30-u latach bojów. Poseł medjolański pisze o niej w tym czasie:

„Dziewa poczyni sobie po pańsku i prawie, jako na męża przystało. Wstrzemięzliwa i ostrożna

w mowie, a głos jej słodki, niewieści. Pożywa niewiele, a bardziej skąpo pije wina. Kocha się w pięknych koniach i zbrojach. Umie czasem łać łyż obfite, aliści zwykła twarz śmiejącą okazować. Nie widzieliśmy jeszcze takowej wytrzymałości na trudy, jako u niej: cały prawie tydzień zdoła przetrwać pod bronią, we dnie i w nocy.”

Cześć jej wśród ludu rośnie; płyną z wielu stron i dary bogate, lecz miłsze jej zapewne były naiwne dowody miłości prostaczków. Często proszona w kumy, trzymanym do chrztu dzieciom nadaje zawsze imiona: Karol i Joanna.

Nie mogąc się doczekać króla, podąża naprzeciw niego. Spotykają się w Château — Neuf. Tu podobno przywitał monarcha swą rycerkę dobrotliwą niby uwagą:

— Luto mi ciebie, iż tyła trudów przenosisz!
Wyczuwając w tych słowach gnuśmy jakiś opór, Joanna rozplakała się.

— Nie traćcie wiary — wyszlochała błagalnie, iż odzyszczecie całe swoje królestwo, a korona wrychle socznie na czele waszem!

Mały ten dialog ukazuje, jakby w przejrzystym skrócie, całą dysproporcję psychiczną między temi dwojgiem.

Niedługo zapewne po tem spotkaniu zaniósł Dziewica do króla gorącą prośbę, aby przyjął z powrotem Richemont'a do swojej służby. Zorientowawszy się prędko w jego wartości, pragnęła uśmierzyć dawne niesnaski i, za jednym zamachem, wzbogacić armję dzielnym mężem, zjednoczyć więcej sił przeciw wrogowi.

Lecz tu natrafiła na zdecydowany opór. La Trémouille miał sumienie, względem konetabla zbyt nieczyste, aby dopuścić do stosunków z nim. Za jego więc podszeptem Karol, przebacząc niby, odmówił jednak stanowczo przyjęcia Richemont'a na jakiegokolwiek wogóle stanowisko w wojsku. Joanna, widząc w nim jedynie dobrego żołnierza, nie spostrzegając, do jakiego stopnia niecierpiał go król i dwór. Zdaje się, że jeden ni drugi nie zapomnieli jej już nigdy tego niepożądanego wstawiennictwa! Niechęć, zrodzona wówczas, narazie bezsilna wobec jej chwały, czekała tylko okazji, by się wyładować...

Lecz rycerka nie znała kompromisów. „Rzuciła się, głową naprzód, między ciernie partyj, tak, jak się rzuciła na front nieprzyjacielski. Polityka, to nie jej rzecz — zbyt była czystą, dzielną, szczerą — a ginęła przez politykę¹⁾.”

W owej chwili jednak, nie przeczuwając jeszcze zguby, dąży całym rozpędem ku szczytowemu swemu dziełu. Ukoronować króla! wszak to o tem prawiły jej święte „Głosy”, jeszcze na łąkach Domrémy... wszak po to opuściła dom i rodzinę! Znać dobrze lud, z którego wyszła, wiedziała najlepiej, czem będzie dla szerokich mas tradycyjny obrzęd namaszczenia, w tym samym prastarym grodzie, z którego jeszcze Merowingowie wychodzili królami... Czuli, nieomylnym instynktem, że teraz nadeszła chwila.

¹⁾ G. Hanotaux.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

MACIERZYŃSTWO, A PRAWO GŁOSU.

Znany pisarz francuski, André Lichtenberger, jest zwolennikiem równouprawnienia kobiet francuskich, pod jednym wszakże warunkiem: aby prawo głosu udzielane było tylko... Matkom co najmniej czworga dzieci.

W dowcipnym artykule, wydrukowanym w jednym z ostatnich numerów pisma paryskiego „La Victoire”, słynny autor „Małego Trotta” broni w ten sposób sprawę repopulacji, której jest, jak wiadomo, gorącym propagatorem:

„Otrzymałem niedawno list od młodej i pięknej pani (damy, które pisują do nas, literatów, są zawsze i bez wyjątku piękne i młode). Nie sądźcie jednak, że to był list miłosny. Gdyby tak było, czyżby mi dyskrecja, wrodzona każdemu rycerskiemu mężczyźnie, pozwoliła o nim wspominać? Nie — to był list poważny, list pełen głębokiej i zupełnie nie osobistej treści.

Korespondentka moja zapytuje mnie, (wierząc, że w moją wszechwiedzę), w jaki sposób należałoby pogodzić hasło repopulacji Francji z hasłem równouprawnienia kobiet? Zastanawiając się głęboko nad tym problemem, podaje wkońcu projekt następujący:

Równouprawnienie kobiet jest konieczne, nie ma o czym mówić — zbyt dużo się o tem mówi i pisze, aby trzeba było jeszcze przytaczać jakiegokolwiek argumenty potemu. Wszelkie reformy jednak najlepiej jest wprowadzać w życie nie od razu i gwałtownie, a powoli, stopniowo, w sposób łagodny, aby wszyscy mieli się czas do tej zmiany warunków przyzwyczaić. Otóż moja korespondentka proponuje rozpocząć tę reformę od nadania prawa głosu — matkom, i to nie mniej, niż czworga dzieci. Oto jej argumenty:

Pierwszych dwoje dzieci nie przynosi nic krajowi — to tylko naturalni zastępcy rodziców po ich śmierci. Trzecie dziecko jest już darem złożonym ojczyźnie, która przecież ma chyba prawo do jakiegoś nadatku wzamian za tyle dobrodziejstw, jakie daje swym dzieciom. Czwarte dopiero dziecko jest już rzeczywistą zasługą matki — powinno ono zatem dawać jej co najmniej te same prawa, które zostały dawno już udzielone wszystkim analfabetom, alkoholikom i kretynom płci męskiej!

Piękna pani! podpisuję się obiema rękami pod tym manifestem i nietylko głosuję z całego serca za równouprawnieniem poczwórnych matek, lecz chętnie ograniczyłbym te restrykcje do trojga, a nawet, kto wie? może i do dwojga dzieci. Pomyśl jednak, czy projekt twój może liczyć na poparcie czyjekolwiek bądź — poza moją niegodną i nic nie znaczącą osobą? (Nie jestem przecież ani posłem do parlamentu, ani niczem podobnym, nie mam żadnych „adherentów” i nie mogę wywrzeć wpływu na nikogo)! Jestem pewien, że projekt twój spotka się z silną opozycją nawet wśród kobiet, a to z dwóch powodów:

1) Matki czworga dzieci (przynajmniej te wszystkie, które znam: nie przeczę, że mogą być także i wyjątki) mają naogół tyle do roboty z wychowaniem i wyżywieniem swojej gromadki, że doprawdy nie dbają wcale o prawo głosu i nie czynią żadnych wysiłków w kierunku pozyskania tego prawa.

2) Niewiasty, oddające się feminizmowi (zastrzegam się wciąż, że mówię tu tylko o moich znajomych: te, których nie znam, są może całkiem inne

nic nie wiem o tem) starają się naogół daleko bardziej o uzyskanie prawa głosu niż o urodzenie chociażby jednego dziecka. (Przyznaję się, że to mnie właśnie do nich zraża — pozatem są to bardzo zęce i porządne niewiasty, wcale nie takie straszaki, jakimi je malują antyfeminiści). Otóż ostrzegam cię uroczyście, piękna, a nieznajoma pani, że projekt twój wywoła w tem gronie straszliwe oburzenie i odrzucony zostanie bez żadnej apelacji.

Ja sam byłbym za rozwiązaniem barażiej polubownem: czy nie należałoby najsamprzód dać prawo głosu wszystkim matkom w ogólności, bez względu na liczbę dzieci? A potem — zobaczymy”.

„Le droit des Femmes”, pismo francuskie, poświęcone prawom kobiecym, przedrukowuje ten artykuł Lichtenberger’a, zaopatrując go w następującą notatkę:

„Zgadząmy się najzupełniej z wywodami pana Lichtenberger: macierzyństwo jest rzeczą świętą, a Francja łaknie repopulacji. Ponieważ jednak hasłem naszym jest: równe prawa dla wszystkich obywateli francuskich, będziemy przez to zmuszone domagać się wzamian ograniczenia praw obywatelskich jedynie do użytku tych mężczyzn, którzy są ojcami”.

NAGRODA ZA MAŁOMÓWNOŚĆ.

W Ameryce zmarł niedawno pewien stary przemysłowiec, który zebrał w przeciągu swego pracowitego i bardzo oszczędnego żywota znaczny majątek, pod koniec życia jednak zdziwaczał zupełnie i wpadł w pewnego rodzaju mizantropję. Zamknął się w swem mieszkaniu, wychodząc tylko zrzadka na samotne przechadzki, nie widywał nikogo i unikał wszelkiego towarzystwa. Obsługiwał go jedynie stary służący, który miał zapowiedziane, że nie wolno mu się odzywać do swego chlebobdawcy ani słowem. Wszystkie ewentualne prośby i pytania należało podawać w formie listu. Stary dziwak również nie odzywał się do służącego, porozumiewając się z nim jedynie zapomocą gestów, w razie ostateczności zaś — pisząc lakoniczne karteczki.

Jedyną krewną starego dziwaka była młoda i bardzo uboga dziewczyna, której zresztą, również jak wszystkim innym, wstęp do mieszkania wuja był surowo wzbroniony. Czując jednak zbliżającą się śmierć, oryginalny ów bogacz wezwał do siebie swą siostrzenicę listem, a gdy przyszła na to wezwanie, podał jej w milczeniu kartkę, na której było napisane: „Odiedziczysz po mnie wszystko, co posiadam, jeśli potrafisz objąć to w posiadanie jednym tylko słowem.” Dziewczyna po chwili namysłu skinęła głową na znak zgody. Wówczas milczący służący wprowadził do pokoju reagenta i dwóch świadków. Młoda panienka powiodła wzrokiem naokoło po całej komnacie, zastawionej cennymi meblami, zbiorami dzieł sztuki, szafami pełnymi książek, a zakreślając szeroki gest ręką, wyrzekła tylko jedno słowo: „Moje?” Staruszek kiwnął głową, notariusz sporządził akt testamentu, położono podpisy i siedemnastoletnia panienka, dzięki swej małowówności, stała się spadkobierczynią ogromnej fortuny.

KRÓLEWNA SPIRYTUSU DRZEWNEGO.

W Ameryce zmarł przed kilkoma tygodniami jeden z bogatych przemysłowców, hrabia Rogors, zwany „królem spirytusu drzewnego”. Rogors pozostawił po sobie jako jedyną spadkobierczynię małą, półtoraroczną córeczkę, która będzie miała w posagu — trzydzieści milionów dolarów. Z. B.

POKŁOSIE SEZONU MUZYCZNEGO

(II. FILHARMONJA I KONSERWATORJUM).



Na rok bieżący odziedziczyła Filharmonja po sezonie ubiegłym, oprócz ciężkiej sytuacji finansowej — kilka niezaspokojonych pretensyj natury artystycznej. Przez parę lat ubiegłych stałym kapelmistrzem Filharmonji i istotnym jej kierownikiem artystycznym był Grzegorz Fitelberg. Fitelberg wyznaczał kierunek jej działalności, nadawał jej zdecydowane oblicze, trzymając bezustannie rękę na pulsie współczesnego europejskiego ruchu muzycznego. Linja programowa koncertów była pod tym względem stała i konsekwentna. Nadto Fitelberg nie dopuszczał bezwzględnie do pulpitu żadnego innego dyrygenta. To stało się przyczyną ostrej i złośliwej kampanji części prasy przeciw Fitelbergowi i przeciw zbyt niemu modernizmowi programów, a za znacznie większym uwzględnieniem muzyki polskiej, wreszcie przeciw zmonopolizowaniu batuty kapelmistrzowskiej w jednym ręku.

W sezonie bieżącym kampanja ta wywołała skutek, jak zazwyczaj w podobnych przypadkach, sięgający dalej, aniżeli słuszność podniesionych postulatów. Zademonstrowały one swoje dobre i złe strony.

Fitelberg poszedł; dyrygował w ciągu sezonu tylko kilka razy gościnnie, ale na równych z innymi prawach; posadę stałego kapelmistrza zniesiono, otwierając w ten sposób dostęp naościę wszystkim. Obok więc powag miejscowych, jak Młynarski, Dołżycki, Ozimiński, — przez podjum kapelmistrza przewinął się cały szereg sił młodszych (Kenig, Mazurkiewicz, Gliński), wśród nich parę nowych indywidualności obiecujących, jak Jerzy Bojanowski, Wiechowicz (z Poznania). Do niezapomnianych należą koncerty pod dyрекcją znakomitego kapelmistrza kolońskiego Abendrotha; ciekawą była też gościna — w Filharmonji (nie w operze!) twórcy opery „Cavalleria Rusticana” Piotra Mascagniego.

Ale brak stałej i silnej ręki spowodował niewątpliwie obniżenie się poziomu zespołowego orkiestry.

Organizacja Filharmonji, zarówno administracyjna, jak artystyczna, uległa zasadniczej zmianie. Filharmonja nie byłaby mogła wogóle w sezonie bieżącym wcale stanąć na pewnych nogach, gdyby nie zasługujące na szacunek stanowisko orkiestry, która dla ocalenia placówki artystycznej zdecydowała się wziąć wyłącznie na własne barki cały ciężar finansowy instytucji i ciężar ten zdołała utrzymać do końca bez obiecanych subsydjów rządowych. Kierownictwo artystyczne złożono w ręce osobnej Rady artystycznej, do której należeli pp. Maliszewski, Maszyński, Melcer, Różycki, Szymanowski, kierownik administracyjny dyr. Chojnacki, wreszcie przedstawiciel orkiestry. Ta to Rada artystyczna zajęła się przede wszystkim programową stroną koncertów, mając na oku wspomniane powyżej postulaty zeszłoroczne. W rezultacie otrzymaliśmy: w lwiej części dobrze wszystkim znaną muzykę beethowską i pobeethovenowską, w każdym programie jeden, lub dwa numery muzyki polskiej i — od czasu do czasu, na okrasę, a zarazem na odczepne — parę również znanych utworów reprezentacyjnych muzyki współczesnej (Debussy, Ravel, Skrjabin), poza

jednak, jeśli pominąć Karola Szymanowskiego, który znalazł przytułek wśród muzyki polskiej, — prawie zupełne odgródenie się od muzyki najnowszej.

Muzyce polskiej należała się niewątpliwie większa, niż dotychczas, opieka. Najzwyczajniejsza sprawiedliwość wymaga, aby ją przynajmniej w Polsce dopuszczono do głosu, gdy gdzieindziej, na terenie międzynarodowym, rywalizacja jest dla niej trudna, nie pozwoliłaby jej ust otworzyć! — Na programach pojawił się znowu, po dłuższej całkiem nieusprawiedliwionej nieobecności Ludomir Różycki, najwybitniejszy przedstawiciel impresjonizmu polskiego, (poematy symfoniczne „Bolesław Śmiały”, „Anelli”, „Król Kofetua”, „Stańczyk”, uwertura operowa „Monna Liza”, wszystko dzieła z epoki tężyzny twórczej autora „Pana Twardowskiego”, o szczerej i płynnej inwencji). Przypomniat się Maliszewski. Zawarliśmy znajomość bliższą z paru wybitnymi talentami pokolenia najmłodszego, które wyszło z solidnej szkoły Statkowskiego, mianowicie: z Perkowskim (znamionująca nieprzeciętną indywidualność „Symfonia”) i Maklakiewiczem („Warjacje symfoniczne”).

Autor baletu „Bajka”, kilku form większych, z których przedewszystkiem „Villa franca” pozostała po sobie pamięć rzeczy świeżej, całkiem oryginalnej, pomniejszych utworów instrumentalnych i pieśni, a wreszcie także ciekawej książeczki o „Muzyce przyszłości” — L. M. Rogowski zaprezentował w tym roku nowe dzieło, „Symfonię ofiarną”. Rogowski jest samodzielnym poszukiwaczem nowych dróg; w harmonji — lubi posługiwać się skalami egzotycznymi; rytm — jest w jego utworach jednym z najważniejszych, nadających utworowi fizjonomję, elementów; podobnie w zakresie instrumentacji, oryginalne zestawienia dźwiękowe.

Te cechy posiada także „Symfonia ofiarna”; niemniej z dzieła tego odnosi się wrażenie, że autor jeszcze zmagą się z formalnymi trudnościami wypowiedzania się i że mu ono idzie, jak po grudzie.

Raz jeden uchylono nieco furtki na zachód, całkiem współczesny. Dzięki p. Wiechowiczowi, który przyjechał z Poznania z tamtejszym chórem, usłyszeliśmy „Króla Dawida” Artura Honeggera, twórcy głośnego i u nas przed rokiem „Pacificu”. „Król Dawid” jest to, jak go autor nazywa, „psalm symfoniczny”, składający się z kilkunastu krótkich części, z udziałem orkiestry, chóru mieszanego i solistów. Każda z części — zwarta i jędrna w formie i w wyrazie; wogóle dzieło szczerzego natchnienia. Rzecz zrozumiała, że utwór ten, podobnie jak „Pacific”, obiegł triumfalnie całą Europę.

* * *

Największą wagę w tegorocznej działalności Filharmonji przypisałbym popularnym koncertom, które organizował wspólnie z dyрекcją Filharmonji p. Czerniawski pod wezwaniem „Wydziału oświaty i kultury” Magistratu. Koncerty te odbywały się w sobotę i w niedzielę przedpołudniem i gromadziły zawsze tłumy słuchaczy z pośród młodzieży szkolnej, inteligencji zawodowej i mieszczaństwa. Propagowały te koncerty w pierwszym rzędzie muzykę polską i dawały sposobność publicznego wystąpienia szeregowi mało znanych, utalentowanych arty-

stów miejscowych. O przełomowym ich znaczeniu dla przyszłości Filharmonji mówiliśmy już obszerniej w jednym z poprzednich artykułów¹⁾.

* * *

Jak zawsze dotąd, filarem kasowym były dla Filharmonji gościny gwiazd z europejskiego firmamentu: wielu dobrych pianistów, mniej skrzypków; śpiewak zagraniczny nie zagościł u nas w tym sezonie, — jeśli mnie pamięć nie mwi — ani jeden.

Odwiedził nas kilkakrotnie Artur Rubinstein, potentat niedoścignionej techniki fortepianowej najlepszego gatunku, wspaniałego tonu, porywający wykonawca muzyki romantycznej i współczesnej (Ravel, Debussy, De Falla, Szymanowski, Granados). Parę świetnych wieczorów zawdzięczamy Mikołajowi Orłowski. Orłowski jest mistrzem gry intymnej, niesłychanie subtelnej, przypominającej koronkową rzeźbę na starych kameach z kości.

Był i Leopold Godowski, jeden z najwybitniejszych reprezentantów starszej generacji pianistów, współczesny Paderewskiemu, wielkość dziś już przyblakła. Rzecz naturalna, że sezon koncertowy byłby niepełny, gdyby w nim brakło świetnych artystów naszych, stanowiących zawsze jego podporę. Wymieniać tylko Józefa Śliwińskiego, Józefa Turczyńskiego, Zbigniewa Drzewieckiego i Zuzannę Rabcewiczową.

Jeśli o wirtuozów gry skrzypcowej chodzi, ewenementem sezonu był przyjazd Pawła Kochańskiego, ulubieńca Warszawy, po kilku latach rozłąki, podczas których zdobywał zagranicą laury — i dolary. — Niezapomniane wrażenia pozostawiły po sobie koncerty Bronisława Hubermana, ze współczesnych mistrzów skrzypiec — z pewnością jednego z największych. Czar gry tego wyjątkowego artysty nie da się z niczem porównać; jest to uosobienie najczystszej poezji tonów. Wreszcie nie można pominąć interesującego wieczoru, na którym — ongiś również mistrz bez rywala — Eugeniusz Ysay, stanął przy pulpicie dyrygenta, aby, jako soliście, zaakompanjować uczniowi swemu, znakomitemu Jacques'owi Thibaud.

* * *

Trzecim najważniejszym ośrodkiem życia muzycznego stolicy jest Konserwatorium, przybytek muzyki kameralnej, muzyki skupionej, a także recitalów wirtuozowskich.

Tej muzyki kameralnej było w tym roku wogóle niewiele. Ogólna depresja odbiła się w sposób widoczny na ilości koncertów zespołowych i solowych. Na początku sezonu wystąpił kilkakrotnie „Kwartet Tryesteński”; z tym świetnym zespołem, idealnie wykonującym zwłaszcza rzeczy współczesne (Ravel, Debussy, Szymanowski) zaznajomiliśmy się w roku zeszłym. Pamięć ówczesnej produkcji ściągnęła do sali Konserwatorium wszystkich miłośników muzyki kameralnej.

Na jednym z koncertów muzyki polskiej zaprezentował się jaknajkorzystniej zespół smyczkowy pp. Kmitowej, Ochlewskiego, Krausego i Stromengera, zespół zgrany, dobrze brzmiący, umiający konsekwentnie wyrazić swoją koncepcję interpretacyjną. Zawdzięczamy mu wykonanie dobrego i ładnego kwartetu Maliszewskiego.

W Konserwatorium odbywały się też, jak co ro-

ku, recitale naszych najlepszych śpiewaczek estradowych, pp. Argasińskiej, Comte-Wilgockiej, Szymanowskiej.

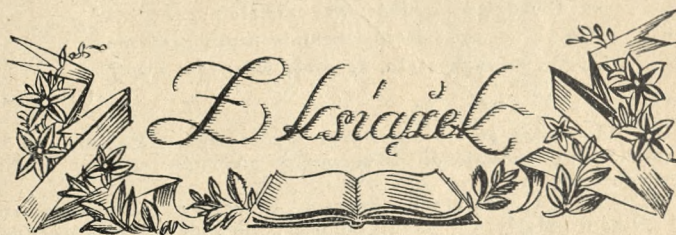
* * *

Obraz życia muzycznego Warszawy byłby niepełny, gdybyśmy nie zaznaczyli powstania i działalności „Sekcji współczesnych kompozytorów polskich”. W tej postaci skrytalizowała się ostatecznie zeszlóroczna chaotyczna akcja, prowadzona częścią pod hasłem „Filharmonji ludowej”, częścią w imię wydatniejszego popierania i rozpowszechniania muzyki polskiej.

Możnaby się wprawdzie zapatrywać sceptycznie na potrzebę zakładania takiego stowarzyszenia, gdy istnieje już od paru lat podobne, z celami nieco szerszej zakrojonemi, mianowicie polska sekcja „Międzynarodowego Towarzystwa muzyki współczesnej”.

Trzeba jednak stwierdzić, że podczas gdy to Towarzystwo nie daje nazwę znaku życia, — „Sekcja współczesnych kompozytorów polskich” okazała się instytucją ruchliwą: urządziła parę udatnych koncertów kameralnych, a na wewnętrznych wieczorach członków i zaproszonych gości stara się wyprowadzić na estradę wszystkich, którzy mają w muzyce cokolwiek do powiedzenia.

J. R.



Jan Brzechwa. Oblicza zmyślone. Poezje. 1926 r.
Warszawa. Księgarnia Gustawa Szyllinga.

Pod tym tytułem ukazał się pierwszy tom poezji Jana Brzechwy. Tom ten zawiera cztery cykle: Godziny przemian, Dziesiąta noc, Legendy i Pieśni Umarłych, ponadto „Ekspres”, zamykający całość onomatopiecznym obrazem pędzącego „przez Kres” pociągu.

Autor „Oblicz zmyślonych” ma najwięcej punktów stycznych z poetami „Czystymi”; łączy go z nimi artystyczna bezinteresowność, wolność od wszelkich tez i dydaktyzmu.

Jest jednak również bardzo inny, i jeśli chodzi o doszukiwanie się pokrewieństw duchowych, to najbardziej wdaje mi się zbliżony do Leśmiana, którego przypomina obrazowaniem, a nade wszystko poetyckim intelektualizmem.

Brzechwa bowiem odbiega od świata konkretów i brył dla zajmowania się sprawami, stojącymi jakby na pograniczu świadomości, a nie dającego się nazwać wyczuwania. Poezja jego ma wiele z muzyki, tej najmniej intelektualnej ze sztuk pięknych.

Wolny od tyranii trzeźwego rozumu, daleki od zmysłowego lubowania się rzeczywistością, sięga w otchłanie zjawisko-rodne, w których niema różnicy pomiędzy bytem, a niebytem, życiem, a śmiercią, możliwością, a niepodobieństwem, kształtem, a bezkształtem, zwierzęciem, rośliną, człowiekiem.

Zasadniczym pierwiastkiem jego poezji jest wczuwanie się w całość bytu, jest upodobnianie się i zlewanie w jedno ze stworami, żywiołami — światami.

Już naczelną wiersz „Przemiany” z cyklu „Godziny przemian”, ilustruje panteizm poety, jego umiejętność wtapiania się w wszechświat. W utworze tym i w innych „Oblicza zmyślone”, „Zmora zielna”, „Cztery dni” wyzbywa się ograniczonej, lecz rozsądnej wiedzy o uwarunkowaniach życia i daje przedsmak trwania wiekiatego wśród przestworów międzywielkich i ciąglego stawania się bez zniechęcenia w jakimś jednym kształcie.

To obcowanie Brzechwy ze sprawami pozaintelektualnymi kieruje go do twórców bezślovných, do cichego tajemniczego świata roślin i do tajemnicy zwierzęcego życia („Ludzie leśni”, „Śmierć zwierzęca”, „Zasadzka”). W tej umiejętności trafiania do roślinnej głębi ducha, gdzie mieści się

¹⁾ „Zagadnienie popularyzacji muzyki” w № 20 „Bluszczu”.

w człowieku wspólne z innymi istotami źródło, w tem cofaniu się jak gdyby do mgławicy kosmicznego chaosu, w dobieraniu się do bardzo w nas głęboko zatajonej wiedzy o wielkiej biologicznej jedności istnień, jest Brzechwy odrębność, jest trudność i urok jego poezji.

Działa ona sugestionująco, a nawet zaborczo, może dlatego, że przemawia w niej jakaś substancja istotna, stanowiąca podłoże ludzkiej psychiki, tak, że pomimo pozornego dziwactwa i bezsensu, rdzeń sprawy trafia w nasze bezimienne twierdzące przeświadczenie.

Emocjonalność Brzechwy muzyczna i dynamiczna sprawia również, że poddajemy się narzuconym przez niego nastrojom. Czujemy wiejący z jego poezji niepokój bytu, podobny do lęku, który nas ogarnia w chwilach, gdy odczuwamy swą samotność w bezmiarze i niezrozumiałość nieskończoności i fatalizm końca, który może nie jest końcem.

Forma poezji Brzechwy, ich rytm i obrazowanie urozmaica się i nagina w zależności od treści: dźwięczy pośpiechem i pędem w dwuwierszach „Chałupy”, brzmi jak surma w spiżowym, męskim, tragicznym hymnie wcielania się w żywioły („Cztery dni”), gra refrenem, jak akordem w siedmiowerszowych zwrotkach „Tajemnic”, powtarzaniem wyrazów, skupianiem i piętrzeniem epitetów potęguje wrażenie.

Niestety, niema tu miejsca na szczegółowy rozbiór formy „Oblicz”.

Duchowe stanowisko Brzechwy stawia go na linii, wiodącej do Boga. Staje przed Nim, lecz nie w roli pokutnika, raczej jako równy i osadzający, a nawet wapicieł („Zmowa zielna”).

Panteizm Brzechwy prowadzi go do odczuwania i odnajdywania Boga w sobie:

„Zaskoczyłem święty oddech w mym oddechu”.

(„Zmowa zielna”).

Lecz: „dwadzieścia sześć lat czekałem
wezwania Boga”...

— „Dwadzieścia sześć lat czekałem na próżno” —

i „Co się ze mną stało, że mnie nigdzie niema,

Co się ze mną stało, że mnie wszędzie brak?”

(„Ucieczka”)

do trwałego i pozytywnego przebywania z Bogiem nie dochodzi, do spokojnego i pewnego poznania samego siebie, również nie.

Stąd w erotykach, lirykach Brzechwy („Dziesiąta noc” i „Pieśni umarłych”) panuje smutek, niezadowolenie, niedosyt („Bunt”, „Agonia”, „Dzień dzisiejszy”).

Niema w nich radości życia. Raczej bolesne odgrodzenie się od niego murem dobrowolnych niespełnień i nieziszczeń.

Smutek i beznadziejność Brzechwy są niedzisiejsze, brzmią jak tony z ubiegłego stulecia. Wzywając się w tę piękną poezję, rozumiemy, że życie w znaczeniu realistycznym jest dla niej obce.

Blizkie jej są żywioły, rośliny, zwierzęta i twory, znane dobre dzieciom i wyobraźni ludzi — świat zwidzeń i przeczuć, bajka, legenda, ballada.

Bardzo ciekawe są dwa niesłychanie dynamiczne utwory Brzechwy: „Radiokonzert”, drukowany niedawno w Skamanderze i „Ekspres”, ostatni poemat poety.

Są to dźwiękowo-wzrokowe wizje, w których poeta odnajduje tak sobie drogi żywioł, wpleciony w życie ludzkie, a jednak zachowujący cały swój racjonalizm, szal, niepowstrzymane rozpęd i tajemniczą niemal mistyczną nieobliczalność i potęgę.

N. M. S.

Z TEATRÓW

TEATR IM. BOGUSŁAWSKIEGO:

„Nie-boska komedia” Zygmunta Krasińskiego.

Pokazano nam w Teatrze Imienia Bogusławskiego „Nie-boską komedię” w szacie nowej, współczesnej. Jest to obecnie modne: w Anglii grają w ten sposób „Hamleta”, w Niemczech, „Fausta”. Ma to być dowodem, że arcydzieło się nie zestarzało, że nie jest anachronizmem dla psychiki współczesnych ludzi. Punkt widzenia równie dobry, jak każdy inny. Ale, może bardziej niebezpieczny. Zwłaszcza w zastosowaniu do utworów takich, jak „Nie-boska”, w których autor porusza tematy społeczne.

Krasiński nie lokalizował swojej wizji w żadnej epoce. Umieszczenie jej w naszych czasach jest co najmniej ryzykowne. Analogie, oczywiście, zawsze można znaleźć. Ale tam gdzie się podkreśla, czy naciąga, analogię, tam tem wyraźniej występuje rozbieżność.

Znamy „Nie-boską” zbyt dobrze, byśmy chwilami nie otwierali ze zdumienia oczów. Przedstawiając Okopy Świętej Trójcy Krasiński operował współczesnymi sobie grupami społecznymi. Zamiast nich ujrzeliśmy na scenie kilku księży i paru panów w zakietach. (Podkreślił to już Boy w swojej doskonałej recenzji). Księża ci i ci panowie mieli być dygnitarzami, senatorami i tłumem szlachty! Stąd scena ta robi wrażenie dziwne, nieoczekiwane, a bynajmniej, nie miłe. O ileż silniej wryła się nam w pamięć przed kilku laty w Teatrze Polskim.

W teatrze Imienia Bogusławskiego czuje się wyraźnie przewagę reżysera i dekoratora nad poetą. Nie przeczę, że mają oni wiele do powiedzenia. Zwłaszcza reżyser. „Nie-boska” nie jest utworem scenicznym i niejedno trzeba w niej skreślić i przerobić. Ale w tem przystosowaniu do potrzeb teatru, w tej rekonstrukcji wizji poety, ginie coś, co stanowi wartość dzieła Krasińskiego. Ginie rzecz cenna, bezcenna, nawet wzruszenie! Zabija je ciekawość, i trzeba oddać sprawiedliwość: podziw, jak budziły w nas ceny zbiorowe. W reżyserowaniu ich jest pan Schiller niezastąpiony, tego niepodobna mu odmówić. Ale ta przewaga elementu zespołowego nad aktorem i talentem jest chwilami nużąca.

Jest to jedna z właściwości Teatru Imienia Bogusławskiego, który mylnie uchodzi za popularny. Raczej nazywać się powinien teatrem dla wybranych.

Pod względem artystycznego wykonania należy to przedstawienie do najszcześniejszych w obecnym sezonie.

Solska - żona i Adwentowicz - mąż wczuli się głęboko w wizję poety. Z innych wykonawców wyróżnili się r. Kunina (Dziewica), Strachocki (Pankracy) i Solarski (Leonard). Z. P.

TEATR MAŁY:

„Osiołek”, komedia Flers'a i Caillavet'a.

„Osiołek” dobrze jest znany w Warszawie i przed paru laty widzieliśmy tę komedię w wykonaniu pani Gromnickiej i Fertnera, dziś zastąpili ich pani Malicka i pan Węgierko. Którzy raczej oddamy pierwszeństwo! nie wiem. Ale to wiem, że w obecnej obsadzie ma „Osiołek” zapewnione powodzenie.

Miła ta, bezpretensjonalna komedia, wysnuta z niczego, jak większość komedii tej doskonałej Spółki Aktorskiej, posiada skarby humoru i sentymentu. Pani Malicka była uosobieniem wdzięku i szczerości, rola słodkiej dziewczyny leży najlepiej w ramach jej talentu. Pan Węgierko w roli mazgaja Buridana zyskał całą naszą sympatię, pani Modzelewska, Jan Ruszyński i Markowski również.

TEATR LETNI:

„Rozwiódźmy się” komedia w 3 aktach W. Sardou.

Komedia Sardou została napisana w roku 1883, świat wyglądał wtedy inaczej: nie było dancigów, ani garsonów, a kobieta rozwódka była czemśco najmniej niecodziennym, a w każdym razie, interesującym. Rozwód poprzedzała w owych czasach zazwyczaj tragedia. To też nieładna śmiałość musiał być Sardou, podejmując ten temat w sposób komediowy.

Jeżeli chodzi o Sardou, autor ten niesłusznie przez cały szereg lat, w których na scenach zapamiętali skandynawi, uważany był za nie literata i nie poe. Był on doskonałym majstrem sceny, i jeśli się grywa sztuki Verneuil'a i jemu podobnych, niema zupełnie powodu, żeby nie grać także Sardou.

Należy się pochwała kierownictwu literackiemu, że to zrozumiało. Cypriana miała w Polsce odtwórczyni tej miary co Wienowska i Przybyłko-Potocka. Miara ta się nie zmniejszyła u Cwiklińskiej. Owszem, rola nabrała jeszcze akcentów żywych, Olbrzymi talent konwersacyjny Cwiklińskiej zajaśniał w całej pełni. Doskonałym jej partnerem był Rożewski, jak zawsze pełen wdzięku i dyskretnego humoru. Panu Grabowskiemu przyspada zwykła rola łatwa do przestyliowania... zdarzyło się to i tym razem. Panie Chaveau, Różańska, Szreniawa, Dobrowolska pp. Noskowski, Roland, Rapacki i Knapczewski tworzyli zespół pierwszorzędny.

Pan Chaberski wybrał stylizacyjny punkt wyjścia. Bardzo szczęśliwie, gdyż w ten sposób pewne anachronistyczne dzisiaj powiedzenia prześlizgiwały się gładko.

Z. P.



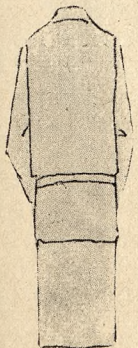


585.

586

587.

588.



589.



590.



591.



592.



593 594. 595.



596.

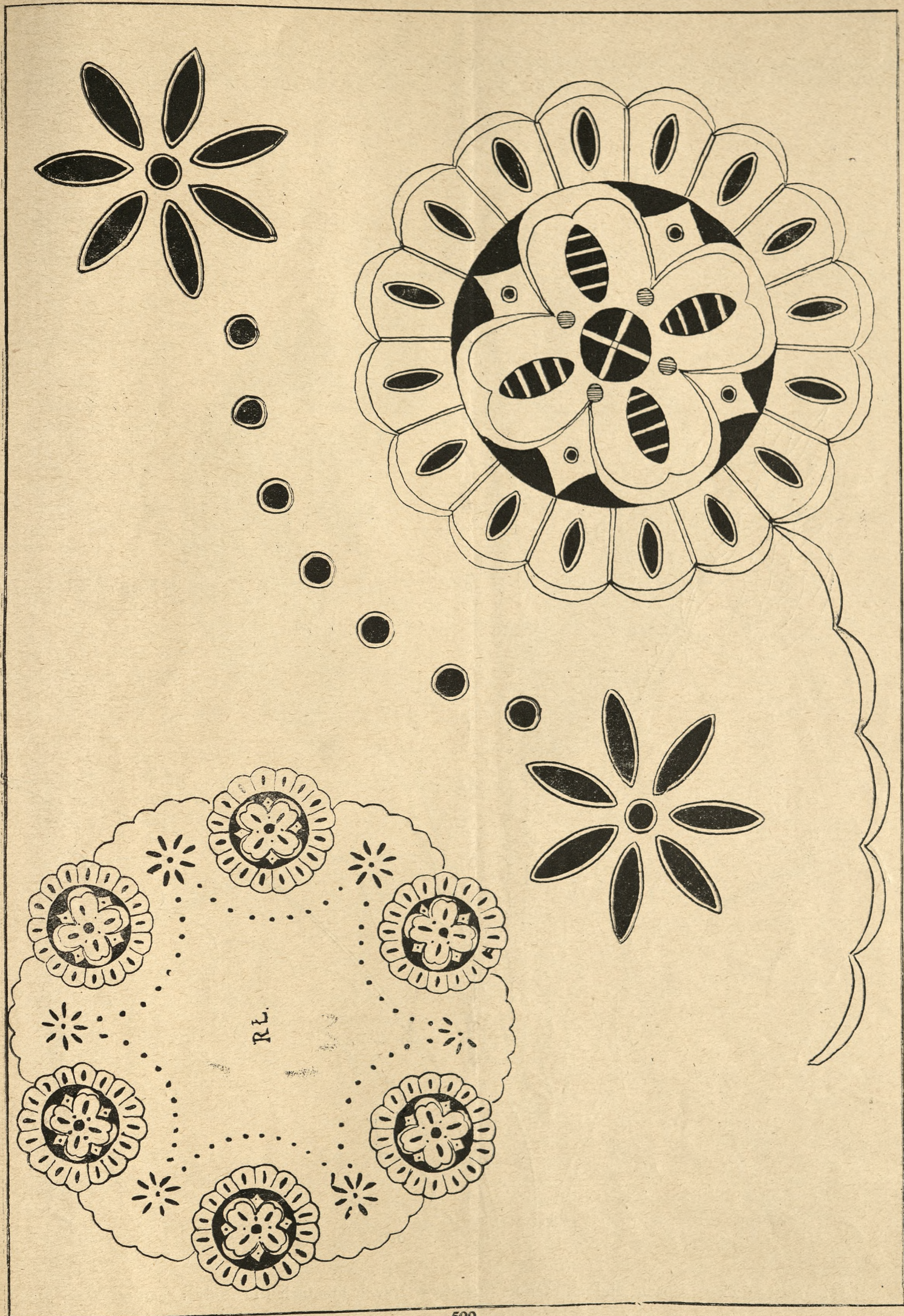


597.



598.







600

Haft na teczke — liście zielone ciemne, kwiaty w trzech cieniach l.la, łodygi jaśniejsze od liści.

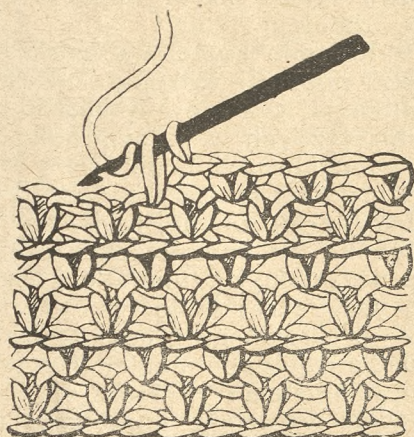
PULL - OVER SZYDEŁKOWY

Elegancki żakiecik (rys. 1), strojny i lekki, zrobiony jest ze sztucznego jedwabiu pół krętego, w dowolnie dobranym kolorze. Krótkie rękawki i owalnie wycięta szyjka wykończone są paskami z jedwabiu chiné, dobrego do tła. Żakiecik robi się podług szematu (rys. 2) ścięciem bardzo wyraźnie na rys. 3 wskazanym. Na pull-over potrzeba jedwabiu w motka: mniej więcej 650 gramów z czego 600 w jednym kolorze, a 50 może być chiné, naturalnie w dobrze dobranych ciętniach, lub kolorach. Zaczyna się robotę od 70 oczek łańcuszkowych, długości 50 cm., na podstawie tego łańcuszka zrobić kawałek 50 cm. długi, wtedy dodać z każdej strony po 12 cm. i zrobić pasek



rys. 1.

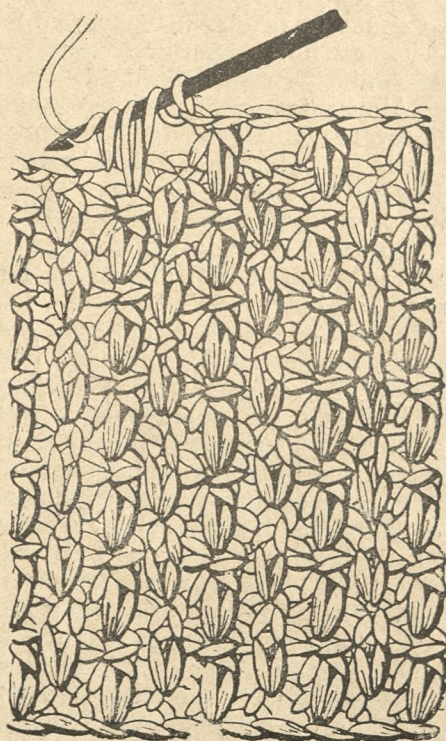
ski robi się albo z jedwabiu chiné, albo w odmiennym kolorze. Pull-over zrobić też można z włóczki, a tylko obłożenie z jedwabiu. Będzie nie tak strojny, ale cieplejszy i o wiele tańszy. Gdyby miara długości 56 cm., tak jak wypadnie połowa wskazanego powyżej wyniaru od połowy ramienia, była za krótka — można u dołu zrobić obłożenie takie, jak wykończenie szyi i rękawów, szerokie wedle potrzeby, ale szersze choć o dwa centymetry od wykończenia przy szyi i rękawkach. Ten rodzaj jumprów jest tak modny, że nosi się je o każdej porze, różnica zastosowania zależy od wykończenia, materiału, z którego jest zrobiony i spódniczki, jaką się do niego kładzie. I tak zrana



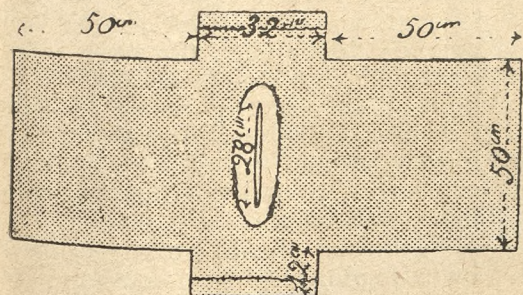
rys. 4.

na rękawki 16 cm. długi. W środku zostawić 28 cm. wolnych na wycięcie przy szyi; zrobić taki sam kawałek 16 cm. długi, a 12 szeroki i znowu 50 cm. na drugą połowę jumpra. Wtedy zeszyć go, obrócić szyję i rękawy paskami zrobionymi ścięciem, na rys. 4 wskazanym. Te pa-

używa się pull-over z wełny do zwykłej sportowej spódniczki, w południe może być z zephyru z jedwabiem do strojniejszej sukienki, wieczorem cały jedwabny do karbowanej, jedwabnej spódnicy będzie stanowił bardzo elegancką, a na pewno bardzo modną całość.



rys. 3.



rys. 2.

L A T O



Uporczywy, męczący szum ulicy — sygnały samochodów, denerwujące dzwonki elektrycznych tramwaj, ciężki tupot kopyt końskich dźwięczących podkowsami o kamienny bruk, tłum wiecznie śpieszących się ludzi, tłum męczenników chaosu, szarzyzny i ciasnoty — wszystko to jest dalekie, jak zły sen, we wspomnieniach zaledwie żyte.

Przenoszę się w krainę marzeń i w marzeniu o nie-dalekiej przyszłości trwam — cała się zanurzam w złocistym nastroju lata, co wyrwie mnie z piekła miejskiego szumu i gwaru politycznych i niepolitycznych trosk i przewidywań, a rzuci gdzieś na cichą senną plażę, w złocie słońca niezmienną i wierną, plażę z gościnnie usłanem łóżem, aksamitnym piaskiem, falą pieszczotliwą, muskaną, wonną od bliskich lasów.

Gdyby nie ten cudowny okres wytchnienia, co duszy i ciała niczem najczystsza jest krynica, kto wie, czy stałoby się na całoroczny wysiłek fizyczny i nerwowy, czy bez kojącej fali, bez wiatru od morza, co z dalekich lądów opowieści niesie, bez czystego błękitu nieba, świeżych ranków, rzeźwiących chłodem wieczorów, bez tego okresu odrzucenia od siebie w zamgloną dal wszystkiego, co składa się na nasze ciężkie życie, co tyle wymaga hartu i mocy trwania na posterunku — stałoby się.

Ale zostawmy na chwilę poza sobą srebrzystą łuskę fal i zwróćmy ciekawe oczy ku pogardliwie rzuconym sakwom podróżnym, co kąpielowy nasz kryją rynsztunek.

Ręczę, że każda z nas wyczuła już przez szereg ubiegłych lat nastroj naszej plaży, wie, że zwieźność kosztownych szatek, to zbędny ciężar, nie mający tutaj zastosowania. To też z radością patrzę, jak doskonale jesteście przystosowane do tych tygodni bezpretensjonalnego kontaktu z naturą, jak lekko i dobrze czuć się będziecie w skromnych, prostych letnich sukniach, w wygodnych, odpornych na niszczycielską moc piasku i kamyków pantofelkach, z obnażonymi główkami w ramę złocistych loków oprawnymi, całe podane ku słońcu, dalekie myśli i wiecznej troski o nieskazitelną doskonałość linii — a mimo to śliczne wdzięku pełne, choć wyzwolone.

Królestwo wasze niefrasobliwe jest, a rozkosz, największa rozkosz, to ranne godziny morskiej i słonecznej kąpeli. Po radosnem spojrzeniu w oblicze jasnego nieba — gorączkowo spożyte śniadanie, płaszcz kąpielowy narzucony na lekkość kąpielowego kostjum — czupryнка schowana w barwną czeluść fantazyjnego bereta, na bosc stopy gumowy wciągnięty pantofelek i — marsz ku fali.

Długie godziny sennego wygrzewania się na piasku i rozkosznej morskiej kąpeli nie wymagają zbytniego wyszukania w ubiorze, a jednak pełne są ślicznych szczegółów i nakazów mody. Ta dręczycielka nie byłaby żeńskiego rodzaju, gdyby swojego ciekawego i władczego, wszędzie nie wsunęła noska. Na plażę kroczy wprowadzić pod znakiem swobody, a jednak sroga jest i nieustępliwa.

W proste królestwo zwyczajnych obcych trykotów wplata wymyślne kształty, delikatne tkaniny, obarcza nas kostjumem kąpielowym i plażowym. Pozwala wprowadzić na kontakt z falą w najskromniejszym trykocie, każe jednak po wyjściu z wody zmienić go na kokietyjne szatki, których śliczne linie, żywe barwy i jedwabista połyskliwość, tak ciekawie rysują się na najmodniejszym tle „couleur sable“.

Kostjum kąpielowy dzisiejszy, to cały poemat. Strojnny haftem, lub aplikacją, przybierany plisami pasów poprzecznych, w jednym kolorze cieniowanych, układający się w kształt bufiastych majteczek, lub króciutkich marszczonych, fałdowanych sukienek, czy spódniczek i lekkich na to narzuconych jumper'ów odsłaniających ręce i szyję.

Efektownym i podnoszącym całość stroju dopełnieniem jest fantazyjne nakrycie głowy, które obracać się będzie w sezonie letnio-kąpielowym, dokoła zawadjackich beretów stosownie do rysów twarzy podgiętych i na główce ułożonych, oraz przylegające doskonale do nacych stóp pantofelki barwnymi wstążkami dokoła smukłych nóg owinięte. Jedno i drugie winno być utrzymane w kolorystyce całości, lub w tonie aplikacyj, czy haftu, jakimi kostjum kąpielowy jest przybrany.

Dłuższą chwilę poświęcić należy kwestji płaszcza kąpielowego, który



nieodzownym jest na morskiem wybrzeżu, a służy nietylko jako ten, co osuszać ma ciało po wyjściu z kąpieli, ale i jako czynnik upraszczający ranną toaletę i uwalniający nas od ciężaru dźwiganych ze sobą na plażę, a tak nieznośnych manatków.

Płaszcz taki odpowiednio zrobiony, w kształcie luźnego swobodnego okrycia z obszernymi rękawami i dużym wywiniętym kapturem, czy też kołnierzem, lub utrzymany w linii tak bardzo modnej dzisiaj peleryny nawet na najświetniejszej zaludnionej plaży wystarcza jako ranny strój i pozwala udać się na plażę w ukrytym pod nim kostjumie kąpielowym, co szczególnie u nas, gdzie za osłonę do rozbierania i ubierania się służą przeważnie drzewa i krzewy, bo kabin kąpielowych większość wybrzeży naszych nie zna jeszcze, upraszcza niebawale kwestję kąpieli. Płaszcze kąpielowe wykonane ze specjalnej na to wyrabianej tkaniny, puszystej, lekkiej i miękkiej, ślicznymi deseniami w barwne znaczony kwiaty, a przystrojone kołnierzem, wylogami, czy prosto płaskimi, dużymi guzikami, jednokolorowym obciągniętym materiałem, są nad wyraz efektowne i optyczne. W dobie obecnej, gdy z wielu słusznych i zrozumiałych względów import wyrobów zagranicznych ograniczony jest do minimum, o wyżej wspomniane tkaniny trudno, u nas nie wyrabiali dotąd materiałów innych, jak piętno ręczników, lub prześcieradeł kąpielowych na sobie noszące, a brzydkich i niegustownych i na płaszcze o typie okryć rannych nieodpowiednich.



W razie gdyby zaprowadzenie się w specjalny materiał przedstawiało pewne trudności, ładnie będzie zastąpić go miękką grubą flanelą, tak bardzo miłą w kontakcie z ciałem i równie dobrze chroniącą od chłodnego powiewu w chwili osuszania mokrego ciała. Jedną z głównych atrakcyj plaży, prócz kąpieli, jest rekordowe wprost opalanie się... Ciało ludzkie zatracając swoistą barwę kości słoniowej prześwieconej pobłyskiem bladego różu, upodobnione terrakotowym figurynkom, spalone są na ciemny bronz, jędrne i zdrowe od pieczyoty wiatru i słońca. Ta rozkoszna igraszka ze słonecznymi promieniami zdradziecka jest, a dla nowicjuszy i nowicjuszek bolesna w skutkach, jeżeli nieświadomi nie zachowali potrzebnych ostrożności.

Żar słońca praży dotkliwie i wywołuje bolesne następstwa. W pierwszych dniach, zanim skóra do silnej operacji słonecznej nawyknęła, trzeba poddawać się tym żarliwym pocałunkom ostrożnie, a, nacierając ciało czystym tłuszczem, łagodzić w ten sposób ostre ich działanie. Inaczej naraża się niejednokrotnie taka nieświadoma jednostka na bolesną oparzeliznę, nie różniącą się w niczem od dotkliwego sparzenia parą, czy wrzątkiem, a trwającą czas dłuższy i brzydkie bo jaśniejsze plamy na brązowym opaleniu pozostawiającą ciele. Smarowanie się tłuszczem w pierwszych dniach pobytu na ostrem słońcu ma jeszcze i te dodatnie strony, że przyspiesza proces opalania i nadaje prędzej i łatwiej ciału głęboki i gorący kolor skóry ludzi pierwotnych. W. D.

SZTUCZNE PERŁY

Któryż klejnot może dorównać pięknnością szlachetnej perle, temu arcydziełu najwyższej twórczyni piękna, przyrody?

Grek wierzył, że owe pełne blasku perły spadły niby skamieniałe krople rosy z włosów Afrodyty, bogini miłości, piany zrodzonej. W Indjach, jak w całym starym świecie, utrzymywała się długo wiara w powstawanie ich w muszlach pod działaniem najczystszej, niebiańskiej rosy.

O nich mówi Rh'a, najstarsza encyklopedia świata, pisana 2500 lat przed naszą erą: „perły, twór morza, największą wartość na ziemi mające...” To samo powtarza rzymski badacz przyrody Pliniusz w swoich pismach. Człowiek zna i ceni perły prawie od świtu kultury, o czym świadczy szereg legend i wzmianek w historii, to też te klejnoty były oddawna przedmiotem wymiennego handlu, lub pożądanym łupem zdobywców, a wtedy to często przysyłano ich księżycową biel purpura krwi. Wszak bezcenny, ich święty skarb czerwonoskórych Indian — perły rzeki Missisipi, zbierane już od przedhistorycznych czasów, złoto-żółte, cielisto-różowe, purpurowe, błękitne i czarne perły — cały ten skarb Golcondy wywieźli Hiszpanie, jako łup krwawo zdobyty, do swojej ojczyzny.

A w dzisiejszych czasach czyż nie uważa się tych darów Neptuna, lśniących przedziwnym blaskiem na białej szyi kobiecej, za najpiękniejsze klejnoty świata, chociaż już rozwiały się legendy o boskim ich pochodzeniu, pod uzbrojeniem w mikroskop okiem badacza?

Już w XVI w. głosili przyrodnicy, że perły są skupieniem wapienia, powstałym w tkance pewnych mięczaków, w podobny sposób, jak powstaje np. zrogowacenie skóry, spowodowane naciskiem obcego ciała. Dzisiejsza nauka ustaliła w sposób niezbity, przy pomocy mikroskopu, że perły są tworem perłowej macicy, powstającej z węglanu wapnia (aragonit) zmieszanego z organiczną substancją, a tworzącą się na powierzchni, albo wewnątrz organizmu pewnych mięczaków. Mechaniczny nacisk obcego ciała, które dostało się do wnętrza muszli, działający drażniącym, powoduje anormalne wydzielanie się substancji perłowej.

Stwierdzono, że taki sam skutek wywołują larwy pewnych wnetrzaków (pasożytów), jak smocznice, nicieni, a zwłaszcza pewnego gatunku tasiemca (Tetrarhynchus union factor), pasorzytującego i przeobrażającego się kolejno w przewodzie pokarmowym ptaków morskich i pewnych ryb.

Drobniotka larwa [tego] tasiemca dostaje się z odchodami ptaków do wody, gdzie pływa dzięki ruchowi licznych rzęsek. Skoro mięczak pochłonie pasożyta, pozostaje on w przewodzie pokarmowym albo, co częściej, wywędrowuje na powierzchnię, między powłokę ciała t. zw. płaszcz, a ściankę muszli.

Teraz występuje ciekawe zjawisko. W płaszczu mięczaka tworzy się wskutek ucisku miseczkowate zagłębienie, w którym usadawia się pasorzyt. Otaczające tkanki, drażnione ruchami rzęsek larwy, starają się zamknąć ją zupełnie w rodzaju trwałej pochwki, przez zbliżenie i zarośnięcie brzegów miseczki. Kiedy się to stanie, wydzielają gruczoły, znajdujące się w płaszczu, wskutek podrażnienia i nacisku substancję perlową, powlekając intruza stopniowo coraz to grubsza warstwą, z początku miękką, później coraz więcej twardniejącą. Powstaje więc twór o strukturze warstwowej. Perła rozwija się — a wewnątrz umiera zamknięty w cudownym błyszczącym sarkofagu pasożyt.

Taką to tajemnicę zamyka serce pięknej perły! Warunkiem powstawania doskonałej, okrągłej perły jest wytworzenie się zewsząd zamkniętej pochwki, wydzielającej substancję perlową. Jeśli pochwka z pasożytem nie zamknie się; powstają półperły, lub perły nieregularnego kształtu.

Przyroda, której prawa ukrywają najwyższą mądrość, pozwala miłującą ją wglądać w swój warsztat pracy, zrozumieć owe prawa, a nawet wykorzystać je dla własnego pożytku. Nie dziw więc, że po poznaniu przyczyn i przebiegu kształtowania się pereł, przystąpili ludzie również do naśladowania przyrody i stwarzania sztucznych warunków, aby w ten sposób pozyskać więcej tych cennych tworów, niż na drodze zwykłych połowów.

Chińczycy próbowali oddawna wytwarzać sztuczne perły. W tym celu wprowadzali do wnętrza muszeli perlowych kulki ołowiane, lub blaszki z wyobrażeniem Budhy, używane na amulety. Po pewnym czasie przedmioty te pokrywały się masą perlową, ale otrzymane stąd perły były mało spoiste, nie grube i nie tak piękne, jak naturalne. Dopiero Japończycy wpadli na pomysł otrzymywania pereł, podobnych do naturalnych. Po wielu próbach zrozumieli, że przy tworzeniu się pięknych okazów nie idzie o samo tylko podrażnienie, ale o swoistość wprowadzonego przedmiotu o właściwościach chemicznie zgodnych. Wtedy proces cały odbywa się lepiej, szybciej i energiczniej. Do tego celu obrali masę perlową, posiadającą te warunki, toczą więc z niej kulki, które następnie wprowadzają do wnętrza perłopławów.

Muszele perlowe posiadają bardzo silny muskuł,

t. zw. zwieracz, który utrudnia ich otwieranie. Trzeba je ogromnie powoli i ostrożnie otwierać, albo za pomocą klinów, albo, co lepiej, zapomocą przyrządów śrubowych, rozsuwając je co jakiś czas o jeden gwint, przez co powiększa się rozchylenie skorup. Kulki perlowe wsuwa się między płaszcz, a skorupę mięczaka. Po jakimś czasie tworzy się pochwka i wydziela substancja, formują się perły o pięknym, właściwym, naturalnym blasku, najczęściej jednak z powodu niezamknięcia pochwki, półperły.

Druga metoda, ostatnio wynaleziona przez Japończyków, pozwoliła uzyskać perły doskonałe ukształtowane, wielkie, piękne i okrągłe. Jest to metoda trepanacji. Blisko zawiasy, gdzie znajduje się wiązadło, robi się świdrem od zewnątrz otwór, przecina płaszcz mięczaka w jednym miejscu, wsuwa się kulkę i zakrywa ją podciągniętym płaszczem, a wkońcu zatyka otwór. Teraz tworzy się zupełna naturalna torebka, poczem z wolna powstaje sztuczna, piękna, jak normalna, perła, nie dająca się absolutnie odróżnić od prawdziwej, nawet przez najlepszych znawców.

Podobno $\frac{3}{4}$ pereł, znajdujących się w handlu, jest sztucznych, t. z. japońskich.

Aby przekonać się, czy perła jest sztuczną, czy naturalną, trzeba ją przeciąć. Jeżeli przekrój, pod mikroskopem oglądany, wykazuje szereg równoległych warstw kulki zrobionej z masy perlowej, niezgodnych z współśrodkowym uwarstwieniem otoczki — perła jest sztuczna. U naturalnej znajduje się zwykle w środkowej komorze zwapniała resztką pasożyta. Taki sposób badania pociąga jednak za sobą zniszczenie perły. Drugi sposób badania metodą optyczną nie niszczy perły, ale da się przeprowadzić tylko na perlach z otworem do nawleknięcia. Jakość perły poznaje się zapomocą prześwietlania od wewnątrz specjalnym aparacikiem. Metody te wymyślili Francuzi.

Pereł dostarczają muszle mięczaków morskich z rodziny perlówkowatych (Aviculidae) przedewszystkiem różne gatunki perłopławów (Margaritana), a z rodziny ziejkowatych, ziejka (Chama). Znajdują się one również w skorupach niektórych ślimaków, jak zwójki (Voluta), krępaczka (Trochus), czaszółki (Patella) i skrzydelnika (Strombus), wreszcie w niektórych muszlach wód słodkich, mięczaków, spokrewnionych z naszą szczeżują. Perły te są często zabarwione.

Za najpiękniejsze uchodzą perły cejlońskie.

W ostatnich czasach zajęli się nasi uczeni próbami sztucznej hodowli pereł w muszlach krajowych gatunków małży, a dotychczasowe rezultaty dają poniekąd nadzieję, że może się uda wyhodować piękne, wartościowe perły polskie.

Zofja Królowa.

POLSKA WSPÓŁCZESNA

III.

SĄSIEDZI POLSKI

Z pośród państw graniczących z Polską, Niemcy stanowią rzeczpospolitą związkową, składającą się z 19 państw, ze stolicą związku w Berlinie. Rzeczpospolita niemiecka liczy 64.000.000 mieszkańców i posiada 472.000 klm. kw. obszaru. Gęstość zaludnienia wynosi średnio 127 mieszkańców na 1 klm. kw. 95,6% mieszkańców stanowią Niemcy, Polaków

jest około 2%. Niemcy stanowią dotychczas, mimo przegranej wojny światowej, jedną z największych potęg ekonomicznych w Europie. Przemysł niemiecki znajduje się w wysokim stadium rozwoju i ma charakter wybitnie ekspansywny. Stosunek Rzplitej niemieckiej do Polski jest mimo zawartych traktatów pokojowych, nieprzyjazny, przyczem nawet oficjalne sfery stwierdzają, iż nie wyrzekły się nadziei odzy

skania dawnych prowincyj niemieckich włączonych do Polski.

Czechosłowacja, granicząca z nami od południa, jest rzeczpolicą. Obszar jej wynosi 140.302 klm. kw., ludność 13.950.000 (97 mieszkańców na 1 klm. kw.). Czesi stanowią 48% wśród mieszkańców Czechosłowacji. Reszta ludności to Niemcy 23,7%, Słowacy 15,4%, Węgrzy 5,4% i inni. Polacy stanowią w Czechosłowacji 0,6%. Stolicą Czechosłowacji jest Praga. Rzeczpospolita czechosłowacka posiada silnie rozwinięty przemysł i wysoką kulturę rolniczą. Stosunki Czechosłowacji do Polski są przyjazne, w ostatnich czasach rzucono nawet myśl unii ekonomicznej polsko-czeskiej.

Rumunja jest królestwem konstytucyjnym. Obecnie panuje król Ferdynand I z dynastji Hohenzolernów. Obszar Rumunji wynosi 294.244 klm. kw., ludność — 17.000.000 mieszk. (55 mieszk. na 1 klm. kw.). Stolicą królestwa jest Bukareszt. Rumuni stanowią 73,7% ludności. Znaczniejszą mniejszość reprezentują Węgrzy (8,8%) i żydzi (4,8%). Rumunja jest krajem rolniczym, a także posiada bogate kopalnie ropy naftowej. Rumunja jest związana z Rzeczpospolitą Polską przymierzem i konwencją wojskową.

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich posiada ustrój oparty na komunizmie, częściowej negacji prawa własności i dyktaturze klasy pracującej. Władza należy do Wszechrosyjskiego Zjazdu Rad i do jego organu wykonawczego — Rady Komisarzy Ludowych. Z Polską graniczą 3 republiki: Rosyjska, Białoruska i Ukraińska. Związek Socjalistycznych Radz. Republik ma 21.134.000 klm. kw. i 136.275.000 mieszkańców. (6,4 mieszk. na 1 klm. kw.) Stolicą Związku jest Moskwa, będąca zarazem stolicą Republiki Rosyjskiej. Republika Białoruska, ze stolicą w Mińsku, liczy 124.000 klm. kw. i 3.900.000 mieszkańców. Republika Ukraińska posiada 442.000 klm. kw. obszaru i

28.380.000 mieszkańców. Stolicą jej jest Charków. Z.S.R.R. produkuje przeważnie płody rolnicze i kopalne. Jest potężnym odbiorcą artykułów przemysłowych. Stosunek Z. S. R. R. do Polski normuje Traktat pokoju zawarty w Rydze w 1921 r., i późniejsze umowy. Stosunek ten był do niedawna bardzo napięty, obecnie jednak znacznie się poprawił.

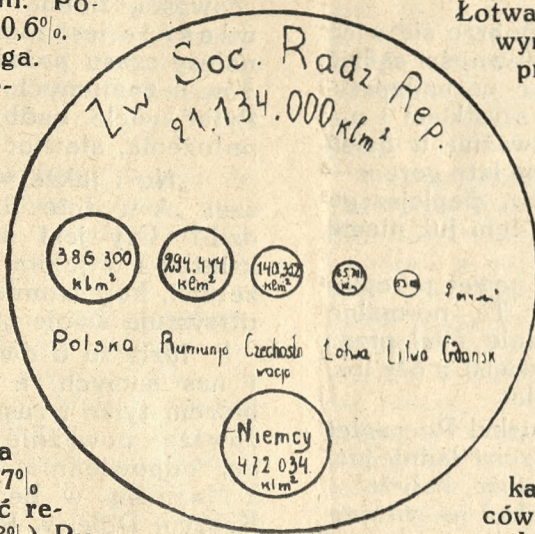
Łotwa jest rzeczpolicą. Obszar jej wynosi 65.791 klm. kw., zamieszkałych przez 1.910.000 mieszkańców (29 m. na klm. kw.). Łotysze stanowią 73,9% ludności Łotwy, Polacy na Łotwie przedstawiają 2,7% ludności. Stolicą Łotwy jest Ryga. Łotwa produkuje przeważnie płody rolnicze. Dźwiga się także ze zniszczenia wojennego przemysł. Stosunek Łotwy do Polski można określić jako przyjazne porozumienie.

Litwa jest również rzeczpolicą. Posiada 52.088 klm. kw. i 2.175.000 (42 mieszk. na klm. kw.). Litwini stanowią 82% mieszkańców, Polacy około 3% mieszkańców. Stolicą Litwy jest Kowno. Rzeczpospolita Litewska jest krainą rolniczą.

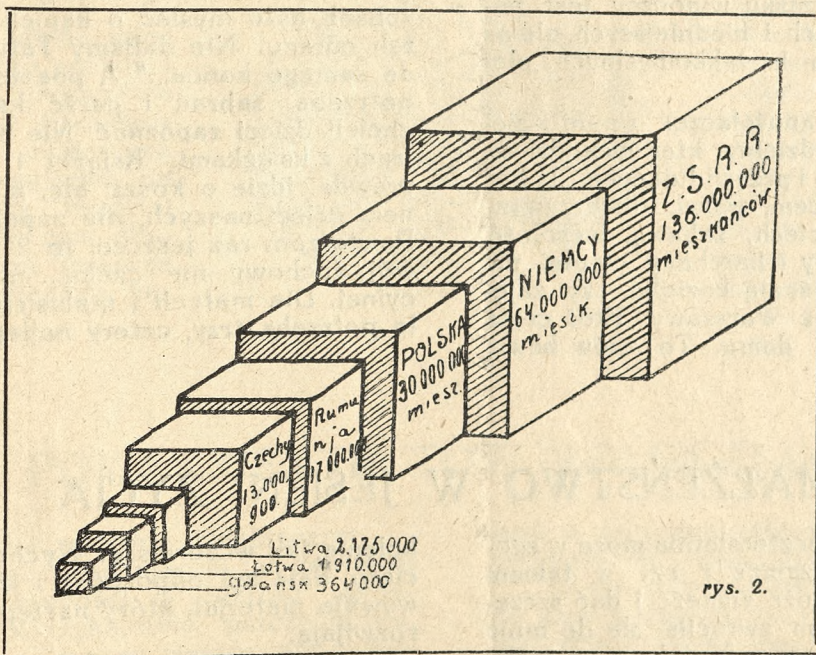
Z Polską pozostaje dotychczas na stopie wojennej, wszelkie stosunki między obu państwami są zerwane, a wysiłki pacyfikacyjne nie odnoszą rezultatów ze względu na odmowę Litwy wyrzeczenia się pretensji do Wilna i Wileńszczyzny.

Wolne miasto Gdańsk, pozostające pod łącznym protektorem Polski i Ligi Narodów, ma ustrój republikański, na czele z Senatem, Sejmem i Prezydentem. Obszar Gdańska stanowi 1.914 klm. kw., ludność 364.380 (190 mieszk. na klm. kw.). Ludność przeważnie niemiecka z nieznaną domieszką Polaków. Gdańsk posiada rozwinięty przemysł przetwórczy i przemysł okrętowy. Stosunek do Polski do niedawna wrogie, zmierza obecnie ku poprawie i opiera się na wspólnych doniosłych dla obu stron interesach gospodar

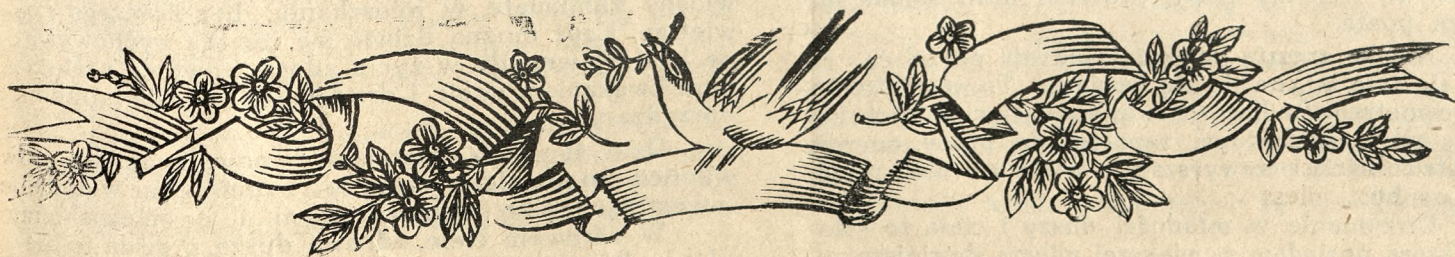
czych. Rys. 1 przedstawia porównanie obszaru Polski i państw sąsiednich, rys. 2 — porównanie zaludnienia.



rys. 1



rys. 2.



W PRZEDDZIEN WYJAZDU NA LETNIE WYWCZASY

Kiedyśmy się już po wielu, wielu nieraz waha- niach ostatecznie zdecydowali, gdzie jedziemy: na zwykłe letnisko, czy w góry, nad morze, czy też do miejsca kuracyjnego — nadchodzi szkopuł nie mniej ważny — co wziąć ze sobą?

Będziemy wśród ludzi obcych — dobrze się więc zarekomendować należy! Z powierzchowności sądzić nas tylko mogą — trzeba wziąć więc co najlepsze, najszykowniejsze, najnowsze przedewszystkiem i nadewszystko. A że wyjeżdża się przeważnie w dzień ciepły, lub upalny, zapowiadają przvttem lato gorące — nie zabiera się więc ciepłej bielizny, cieplejszego ubrania, no a kalosze, parasol — o tem już niema mowy... „Czyż cały dom zabrać?”

A przecież dnie chłodne, zimne nawet przeplatają upały, a dżdżyste — słoneczne! To normalne w naszym klimacie. Jeśli kto jasne dnie miał przez cały czas poza domem — wygrał nie wielki może los, ale dużą bardzo sumę na loterii życia.

A jak to potem bywa na letnisku! Po nagłej ulewie, czasem po parodniowym deszczu ładnie już, pogodnie, aż rwie do słońca, a tu kałuże, kałuże — trzeba długo w cienkiem obuwiu czekać na znośne obeschnięcie. A dalej, czyż zawsze można w deszcz nie wyjść? A jeśli kto jada poza domem? A jak po listy ważne, czy pieniężne, po lekarstwo, czy wogóle jaki środek kuracyjny trzeba iść parę kilometrów? Parasol więc, kalosze, wszelkie ciepłości do odziania się, ewentualnie płaszczyk gumowy, muszą być na letnie wywczasy zabrane!

W dni dżdżyste na letnisku widoczny jest podział nie na ludzi bogatszych i biedniejszych, ale na zapobiegliwych, roztropnych i... lekkomyślnych, płochych.

W dzień taki, kiedy kapuśniaczek siepie i siepie, w dzień smutny, beznadziejny, ktoś wchodzi do domu do ludzi roztropnych i przewidujących. „U was jak u Pana Boga za piecem, mówi, otworzywszy drzwi, bo i cóż zastaje? Śmiech, zabawę, wesołość. Dzieciaki, odziane w trykoty i barchany ciepłe, nie te od stroju i ulicy, przewracają koziółki, czy zajęte zabawkami, zabranymi z Warszawy. Ktoś czyta ciekawą książkę, wziętą z domu. To znów bawia

się w gry, wzięte z Warszawy. Działwa nie skarży się, nie maże się, nie łązi z kąta w kąt, nie zatrąwa życia wszystkim dorosłym...

Jadąc po raz pierwszy na lato do danej miejscowości, trzeba dobrze się wywiedzieć, co tam właśnie jest niezbędne, bez czego źle będzie. Nie należy czasu pożałować na przeprowadzenie wywiadów u znajomych, którzy w danym miejscu już byli. Pytać wiele osób, a chcąc mieć dokładny obraz położenia, stawiać nie ogólnikowe pytania:

„No i jakże wam tam było?” ale szczegółowsze: „A w dnie dżdżyste jakieście sobie czas urządzili? Czy jest na miejscu czytelnia? Czy dużo książek i w jakim rodzaju? A dziecinne? A jak z gazetami, korespondencją? dzieci też rade na letnisku otrzymują swoje „pisemko”.

Idzie tu o dwa miesiące życia dzieci naszych i nas samych, a czasem i więcej nawet. To nie biczem tylko trzasnąć, to duży szmat czasu. Nieraz, zaważv poważnie na duszy dziecka książeczka, odpowiednio dobrana, a głośno przeczytana z Mamusią w beznadziejną ulewę w Orłowie, czy Kaczym Dole, w Rabce, czy w Milanówku, u wujostwa w Kieleckiem, czy u gospodarzy pod Nowomińskiem; artykułik, związany z przeżywaną chwilą, z przyrodą miejscową, czy osobliwościami, pamiątkami dziejowymi, czy wogóle utwór piękny, wartościowy... „Pamiętam”, powie kiedyś nasze dziecko „czytałem Robinsona pierwszy raz w życiu w Radłowie (nad zatoką Pucką). Deszcz był ulewny, ani sposób było myśleć o kąpieli. Całegośmy przeczytali odrazu. Nie daliśmy Tatusiowi spokoju, musiał do samego końca...” A poezje? To też, wyjeżdżając, potrzeba zabrać i garść książek, z którymi byśmy chcieli dzieci zapoznać. Nie mówimy przecież o kufrach z książkami. Książki i czasopisma są ciężkie, prawda, idzie o koszt, ale, myśląc o zdrowiu fizycznym dzieci naszych, nie zapominajmy o duchowym. Powtarzam raz jeszcze: to 2 miesiące życia, a rozwój duchowy nie czeka... niema tu przerwy wakacyjnej. Dla małych i malusich dzieci, bardzo niewiele potrzeba, trzy, cztery najlepsze książeczki

Józefa Gażyńska

MAŁŻEŃSTWO W JESIENI ŻYCIA

Czy osoba czterdziestoczteroletnia może w zgodzie z rozsądkiem wyjść zamaż i czy w takim spóźnionem małżeństwie może znaleźć i dać szczęście? oto pytanie z jakim zwróciła się do mnie jedna z moich miłych korespondentek. Czemużby nie, odpowiadam ze szczerem przekonaniem.

Jeżeli dziewczę dwudziestoletnie posiada urok cudnego pączka róży, rozchylającego swe promienne płatki, to czterdziestoletnia kobieta uosabia wspaniały jesienny kwiat, któremu hołd składa nie jeden poeta.

Niema zresztą większej prawdy ponad tę, że ma się tyle lat, na ile się wygląda. To zewnątrz, a wewnątrz? Ileż znam pięćdziesięcioletnich kobiet, które szlachetnym zapałem do pracy, energią i wytrwałością przewyższają o wiele od nich młodsze osoby.

Utrzymanie w młodości duszy i ciała to sztuka, którą posiadają w większej mierze dzisiejsze po-

kolenia, jak wczorajsze. Wychowanie obecne rozwija ciało, daje mu odporność i wytrzymałość, przygotowuje materiał, który następnie gimnastyka i sporty rozwijają.

Jakim to anachronizmem zdają się dzisiaj te spódniczki puchowe, te kaftaniczki wełniane, te dzieci zaszyte bezmała w barchan, trzymane całą zimę w temperaturze cieplarnianej, strzeżone przed każdym chłodniejszym powiewem, od jesieni do wiosny zamknięte w mieszkaniu, bez świeżego powietrza. Czyż można dziwić się, że tak wychowywane kobiety wnosily w życie zdenerwowanie i wiecznem kwękaniem sobie i drugim tak niemile istnienie obrzydzały.

Dziś typ ten szczęśliwie powoli zanika, aż wkońcu zapomniany zejdzie zupełnie z widowni, pozostając tylko wspomnieniem i pośmiewiskiem.

W zdrowem ciele, zdrowa dusza, prawda to niezbita. W silnie, normalnie rozwiniętem ciele, kryje

się silny duch, który długo młodym pozostanie, zwłaszcza jeżeli odpowiednio rozwijanym będzie. Nauka, praca, obowiązek, to gimnastyka dla ducha.

Tak przygotowana do życia kobieta długo młodą pozostanie, a jesień jej tak, jak jesień w naturze będzie wspaniała, bogate barwy ubrana. W jesieni życia kobieta zrównoważona, rozumiejąca je, dokładnie oceniająca umysłowość, uczucie i wartość człowieka, odbiera nagrodę za cnoty i karność, którą ujarzmiła sobie. Poza to przecierpiawszy dużo, bardziej przywiązać się umie, a ponieważ sprawiedliwiej, jak w wiosnie życia, ocenia męczyznę, wie jakim jest, a jakim ten wymarzony niegdyś ideał być nie może.

Naturalnie kobieta czterdziestoletnia łączyć się powinna dojrzałym węzłem z odpowiednim wiekiem mężczyzną. Niestety, często zupełnie młodzi ludzie, gorąco rozkochują się w starszej kobiecie. Miłość taka, choć narazie zawrotnie gorąca i płomienista, to efemeryda, która równie prędko zniknie, jak powstała i prędzej czy później rozsypie się w gruzy, zostawiając po sobie — nieszczęście. Bo przecież szczęście musi być spokojne i trwałe, oparte na zdrowych realnych podstawach. To też pozostawmy takie nienaturalne wyjątki ich losowi, bo choćby serce nasze współczuło im gorąco, nic im nie poradzimy, świat próżny i powierzchowny nie zrozumie tragedji, ale odczuje śmieszność. Na szczęście osoba, której wahania dowodzące o wysokiej wartości jej charakteru, nasunęły mi tę garść myśli, nie wchodzi w podobny związek. Wybrany przez nią człowiek dobiega również do jesieni życia, co bynajmniej nie odpycha, przyciąga prędzej zupełnie nawet młode kobiety.

Kobieta młoda ma żal do młodego mężczyzny za jego egoizm i lekkomyślność. Są to przeważnie wady młodości, starszy zbliżający się do pięćdziesiątki mężczyzna stanowczo lepszym i czulszym się staje. Poznawszy życie bardziej rozumie kobietę, bardziej ceni okazywane mu uczucie, sam szczerze i głęboko do niej przywiązany, ko-

cha ją bardziej tak, jak kochać się powinno, to jest dając więcej ze siebie, jak wymagając dla siebie.

Mężczyzna, czujący zbliżającą się starość, a z nią samotność i opuszczenie, obawia się zawsze, że daje za mało, tem samem robi się sprawiedliwszy i pobłażliwszy, czulszy nawet, jak młody człowiek, doznaje zupełnie nowego i niespodziewanego dla siebie uczucia wdzięczności, o którym w trzydziestym roku życia nawet nie przypuszczał, że go odczuć potrafi, wdzięczności dla kobiety, która mu serce oddała, życie z nim związała i otacza go czułą opieką, mającą dużo z miłości macierzyńskiej w sobie, ogólnej cechy, prawdziwie kochającej kobiety.

Dwie istoty, które przeżyły dosyć, aby wiedzieć, czym jest życie i czego można się po niem spodziewać, dwie istoty, które łącząc co im pozostało wiary i nadziei w przyszłość z doświadczeniem, które nabyły, przebiegając każde z osobna ciernisty szlak życia, mogą zdaniem mojem stworzyć związek najczulszy, najpogodniejszy, opromieniony tliwością i wiarą w siebie. To tak, jakby kto zasiadł w zaciszy altany w ciepły pogodny wieczór wrześniowy, do uczyty z umiłowanym towarzyszem, czyż to nie więcej warte od śniadania spożytego w upalny, słoneczny ranek wiosenny? A jeżeli do uczyty jesiennej znajdziemy rzeczywiście wymarzonego towarzysza, który tak, jak Wy, będzie umiał cenić godne uwielbienia odblaski, subtelne cienie, zachodzącego słońca, które tuszuje ostre brzożgi widzianych przedmiotów, aby nie razić naszych rozmarzonych oczów — bądźcie szczęśliwi. Co znaczą ciemne ranki, burzliwe pełne zgiełku popołudnia, jeśli zmęczone długiem oczekiwaniem odpoczynku, ciężką walką o byt, w dobie kiedy mimo wszystko wasz horyzont jest najwspanialszy i najrozleglejszy, będziecie mogły wesprzeć z zaufaniem zmęczone czoło o ramię prawdziwego przyjaciela. A więc z wiarą w lepsze jutro mimo spóźnionej pory, która z was ma siły do życia, a młodą sercem się czuje niech się nie waha, i da szczęście sobie i drugiem. J. S.



POKAZ CENTR. TOW. ROLNICZEGO

Pokaz ma charakter wybitnie dydaktyczny.

Chodzi o to, by dać zwiedzającym jak najwięcej i najważniejszych wiadomości z zakresu ogrodnictwa, jedwabnictwa, koszykarstwa, pszczelnictwa, wikliniarstwa. Różne inne rzeczy weszły tam dodatkowo.

Triumfy święci jedwabnictwo. Zainteresowanie jest duże. Kosze pełne ślicznych, białych i żółtych oprzędów, modeliki warsztatów rozmotujące w oczach widzów nitkę jedwabną, a obok na liściach morwy najedzone, syte gąsienice... Ludzie niektórzy patrzą na to z głębokim niedowierzaniem: więc to ten owad... on oprzędzie się potem i wytworzy to zgrabne żółtawe jajeczko?

Wciąż słyszy się zapytania w tym rodzaju. Innych interesują gotowe już wyroby: samodziały jedwabne i pończochy. Pończochy, zwłaszcza, miękkie, miłe w dotknięciu, porównywane są wciąż z wyro-

bami z jedwabiu sztucznego, lśniami wprawdzie, ale twardymi i nieprzyjemnie dającymi wrażenie.

W dziale koszykarstwa reprezentowane są głównie dwie instytucje: więzienia i zakład dla ociemniałych dzieci Matki Czackiej z ul. Polnej 40. Prace koszykarskie więźniów wykonane są niekiedy z prawdziwą precyzją. Są tu wyroby z Wilna, Kalisza i z warszawskiego więzienia przy ul. Długiej. Prócz okazów koszykarstwa wystawiono także zabawki drewniane i przedmioty użytku domowego z drzewa: balje, stołki, stolnice, kredensy kuchenne, ule itd. Wszystko to wyróżnia się cenami niższymi znacznie od targowych. To też zwracamy na te wyroby uwagę pań. Poza wystawą dostać je można, a nawet obstarłować w zarządach więzień. Robota solidna, staranna, jak to bywa u ludzi, którzy mają dużo czasu.

Wyroby dzieci ociemniałych są również godne

poparcia. Dziewczynki wyrabiają — galanterję koszykarską, chłopcy — przedmioty większego kalibru, np. bardzo praktyczne wycieraczki, wypłatają także krzesła, znacznie taniej, niż zawodowi wypłatacze.

W dziale ogrodnictwa zwracają uwagę tablice z „przykazaniami” ogrodniczymi. Powinno się wieszzać je w szkołach powszechnych, w domach ludowych...

Zastanowiła mnie mapa szkółek owocowych rozsypanych na przestrzeni Państwa. Znaczone są niebieskimi okrągłymi plamkami. Plamek tych sporo, nawet dużo w Wielko i Małopolsce, najwięcej bodaj w byłym Królestwie, ale na czarnoziemnym słonecznym Wołyniu, tylko dwie, a na całym ogromnym Polesiu — ani jednej! Jest tylko parę drobnutkich błękitnych punktów, świadczących, że jakieś zaczątki szkółkarstwa poczynają tam powstawać. Tak samo jest ze szkołami powszechnymi i średnimi, tak samo we wszystkich dziedzinach życia! Kresy, sponiewierane przez Rosję, zapuszczone od niepamiętnych lat, wołają o rękę do pracy, o głowy przewidujące, o serca entuzjastyczne.

Jakież tam kolosalne pole dla chcących pracować!

Nawiasem mówiąc, podobno większość naszych szkółek owocowych nie odpowiada wymaganiom

racjonalnie prowadzonej hodowli drzew owocowych. Podobno siekiera przetrzebić je powinna, by na nowych podstawach, nowa mogła się zacząć gospodarka...

W dziale ogrodniczym nagromadzono mnóstwo wydawnictw specjalnych. Dowodzą one wytężonej już oddawna pracy naszych pionierów ogrodnictwa. Teraz trzeba tylko, by ruch ten rozlał się szeroko ku pożytkowi narodu i Państwa.

Spółdzielnia pszczelnicza „Barć” jest jedyną pono instytucją reprezentującą tu pszczelnictwo. Wystawiła wzorowe ule i wszelkiego rodzaju narzędzia, służące do hodowli pszczół i przerabiania ich produktów.

Jak widać z powyższego, Pokaz cały poświęcony jest 4-em przemysłom dodatkowym do rolnictwa: ogrodnictwu, pszczelarstwu, jedwabnictwu i koszykarstwu wraz z wikliniarstwem (Państwowe hodowle wikliny wystawiły liczne i piękne okazy).

Od wielu lat propaganda tych przemysłów była na ustach ludzi dobrej woli. Ale pod rządami obcymi dobrym chęciom nie odpowiadała nigdy realizacja. Dziś jest czas na pracę u podstaw, na pracę organiczną, na przebudowę całego życia gospodarczego. Tylko rękawy zakasać i żadnej pożytecznej pracy się nie wstydzić!

C. r.

OBIADY NA MASZYNCIE

(na 3 osoby)

I.

Chłodnik.

Sznycle cielece z młodem kartoflami.

Omlet z truskawkami.

Rano, tego dnia, kiedy mamy robić chłodnik, opłókać i pokrajać drobno nieduży pęczek młodych buraczków wraz z listkami i łodygami. Ugotować na miękko w dwóch szklankach wody, osolić do smaku, wstawić wraz z naczyniem, w którym się gotowało w zimną wodę, aby dobrze ostygło. Ugotować także dwa jaja na twardo, nastawiając w zimnej wodzie i gotując pięć minut, od chwili zagotowania. Zlać gorącą wodę, zalać zimną, tak zostawić do chwili obiadu. Pół kilo młodych kartofli oskrobać delikatnie z cienkich łupinek, zalać zimną wodą, aby tylko objęło, zagotować, posolić, gotować, aż zmiękną, nie odlewając wody, wstawić do gniazda. Sześćdziesiąt deka miękkiej, sznycłowej, cieleciny rozkrajając na trzy plastry, krawiec w poprzek włókien, zbić mocno, uformować zgrabne sznycle, dać tak poleżeć z godzinę. Dwadzieścia deka truskawek oczyścić z korzonków, przekrając na kilka części, osypać obficie cukrem, dać tak postać z pół godziny. Pół litra zsiadłego mleka i kwaterkę kwaśnej śmietany ubijać trzepaczką, aż się stanie zupełnie jednolite, dodać wystudzoną botwinę, pokrajany cienko ogórek, koperku zielonego i szczypioru młodego usiekanego potem utłuczony z odrobiną soli w moździerzu dużą łyżką, — jeśli mało kwaśne dodać łyżkę dobrego octu (nie z esencji!), pokrajane w ćwiartki jaja, jeśli można dostać, kawałek czystego lodu i odstawić na kilkanaście minut.

Sznycle osypać mąką, na patelni zrumienić obficie masło, lub szmalec, smażyć sznycle, soląc dopiero stronę już zrumienioną, aby cielecina pozostała

białą, gdy sznycle usmażone, zlać wodę z kartofli, położyć na nie sznycle, wylewając na kartofle masło od nich. Trzy żółtka ubić mocno, dodać do nich białka ubite na sztywną pianę. Na dużej patelni rozpuścić łyżkę masła, na to jaja nieco osolone, gdyż inaczej nawet słodki omlet smaku nie ma, wylać jajka, nieco zrumienić, poczem ogień przykryć, pozostawiając tak mały, aby się przypalić nie mogło, a jednak omlet dochodził. Podawać chłodnik, potem wyłożone na półmisek sznycle z kartofelkami, na końcu wyłożyć truskawki w omlet, złożyć na połowę i podawać natychmiast, aby nie opadł.

II.

Rosół z kluseczkami.

Kurczę po wiedeńsku, sałata ze śmietaną.

Kompot z agrestu zielonego.

Duże kurczę, starannie oprawione, nastawić z półtora litrem wody, sporą marchewką, mniejszą pietruszką, i paru gałązkami kopru. Gdy zawrze zszumować, osolić, ogień zmniejszyć i gotować na zupełnie wolnym, aż kurczę i włoszczyzna zmiękną. Kurczę wyjąć, rozdzielić na sześć równych części, ułożyć na desce, przycisnąć drugą, lub półmiskiem, dać zupełnie wystygnąć. Pół kilo zielonego agrestu oczyścić z szypulek, nastawić z dwoma szklankami wody i szklanką cukru, gotować aż agrest zmięknie, przelać na salaterkę, zastudzić dobrze. Kto lubi może dodać kawałek (pół cala) wanilii i gotować razem.

Ugotować jajko na twardo, włożyć w zimną wodę, aby ostygło. Przygotować ciasto na kluseczki: łyżkę masła utrzeć doskonale z żółtkiem, dodać dwie łyżki mąki, wycierać mocno, sparzyć łyżką wrzącego rosółu i jeszcze wycierać. Gdy kurczę wy-

stygło, utarzać kawałki w mące, potem w rozbitym, całym jajku, na koniec grubo w tartej bułeczce. Na głębokiej patelni rozpuścić sporo szmalcu, na wrzący spuścić kurczę, zrumienić z obu stron, przykryć drugim naczyniem, aby nie wystygło. Białko ubić na sztywną pianę, dodać do ciasta przygotowanego na kluseczki, i małą łyżeczką herbatnią spuszczać kluseczki na wrzący rosół, gdy wszystkie spuszczone, przykryć na minutę pokrywą, poczem pokrywę zdjąć, wyspać do rosółu nieco usiekanego, zielonego koperku i podawać. Sałatę należy przyrządzić przed samym obiadem w sposób następujący. Sałatę starannie umyć, otrząchnąć z wilgoci na serwecie, lub czystej ścierece. Półkwaterek śmietany zmieszać z łyżką zielonego koperku i szczypiorku, łyżką winnego octu, łyżeczkę cukru i pół łyżeczki soli, zalać tem sałatę, wymieszać dokładnie, ubrać jajkiem twarogiem pokrajanym na plasterki, sałata przyrządzona długo stać nie powinna, gdyż flaczaje i smak traci.

Pani Elżbieta



BUDYŃ ZE SZPINAKU.

Kilo szpinaku sparzyć wrzątkiem i przepuścić przez maszynkę. Cztery bułeczki wymoczone w mleku przepuścić też przez maszynkę. Dużą cebulę drobno pokrajaną przesmażyć, nie rumieniąc, w łyżce masła. Ucierać to wszystko razem, dodając po jednym pięć żółtek, aż się masa zrobi zupełnie gładka, osolić do smaku. dodać trochę pieprzu, lub gałki muszkatołowej. Formę wysmarować grubo masłem, przysypać bułeczką. Białka ubić na sztywną pianę, wymieszać lekko z masą budyniową, włożyć wszystko w formę, gotować godzinę od chwili zagotowania.

Gotuje się, jak każdy budyń, w rondlu do połowy napełnionym wodą wrzącą. Po wyrzuceniu z formy natychmiast podawać, gdyż może opaść. Do tego budyniu można podać masło z bułeczką, jak do szparagów, sos śmietanowy biały, lub też, co bodaj najsmaczniej, masło roztopione zmieszane po połowie z kwaśną śmietaną i raz tylko zagotowane. Można też tę samą masę szpinakową ułożyć w kopułę na metalowym półmisku i zapiec w formie sufletu. Sosy do sufletu podaje się te same co do budyniu.

GALARETA TRUSKAWKOWA.

Wziąć pół kilo truskawek. Dziesiątek najładniejszych przechować, resztę ugotować z trzema szklankami wody, gdy zbledną, przecedzić, dodać trzy ćwierci szklanki cukru i sok z całej cytryny.

Sześć listków żelatyny namoczyć w zimnej wodzie, odcedzić, rozpuścić w gorącym syropie truskawkowym. Połowę płynu wlać do formy, zastudzić, na to ułożyć odłożone. duże truskawki, zalać resztą płynu i wynieść na lód, lub do piwnicy. Przed podaniem zamoczyć na sekundę formę w gorącej wodzie, przykryć talerzem, lub półmiskiem, galaretę wynieść i zaraz podawać. Można też taką galaretę podawać w małych szklaneczkach, szampankach. Z tej ilości wyjdzie sześć szklaneczek.

GALARETA PORZECZKOWA (konfiturowa)

Porzeczkę dobrze dojrzałą, lecz nie sfermentowaną, złożyć w rondel, zalać wodą tyle tylko, aby objęło, zagotować na silnym ogniu, gdy popękają odstawić, przecedzić przez worek flanelowy, używany do soków, lekko wycisnąć, dać postać ze sześć godzin (można i więcej), aby się fusy na dole ustały. Czysty sok zmierzyć do miedniczki, zanurzyć w nim czysty patyczek, zaznaczyć na nim dokąd płyn dochodzi. Ile szklaneczek było soku, tyle brać cukru, kryształ, wymieszać starannie łyżką do dna, postawić na silny ogień, zagotować, zdjąć starannie szumowiny i smażyć dalej. Galarety smaży się na silnym ogniu, wręcz przeciwnie jak inne konfitury, chodzi tu o szybkie wyparowanie płynu przy zachowaniu aromatu owocu. Od czasu do czasu mierzyć płyn patyczkiem, gdy mamy tę samą miarę płynu, co przed zaczęciem gotowania, odstawić. Mieć już przygotowane, suche, dobrze ogrzane słoiki, do których jeszcze gorącą galaretę ostrożnie się zlewa. Gdy dobrze zastygnie, najlepiej nazajutrz po smażeniu dopiero, zawiązywać pergaminem.

SOK AGRESTOWY BEZ CUKRU.

Agrest zupełnie wyrośnięty, lecz twardy jeszcze, obierać z szypulek i tłuc w stępie, lub przepuścić przez maszynkę specjalnie do miażdżenia owoców przeznaczoną. Dać postać w naczyniu drewnianem, lub fajansowem dwadzieścia cztery godziny. Przecedzić i wycisnąć do suchej przez mocny worek z grubego płótna. Wiórki sucha zalać wodą, aby tylko objęło, potrzymać tak dwadzieścia cztery godziny, utłuc lub przetrzeć raz jeszcze. Oba płyny złączyć, zlać w duże słoje szklane i postawić na oknie, gdzie słońce dobrze działa. Słoje zawiązać płótnem, aby się płyn nie kurzył. Po sześciu tygodniach, gdy płyn się doskonale sklaruje, zdjąć szumowiny, które się uformują u góry i scedzić ostrożnie z fusów na dole.

Czysty płyn zlewać do suchych butelek. Do każdej butelki włożyć parę pasków żółtej skórki cytrynowej, cienko skrajanej ze świeżej cytryny. Zakorkować szczelnie, osmolić, lub zalakować i trzymać butelki leżące w piwnicy, lub zimnej spiżarni. Sok ten w kuchni może doskonale zastąpić sok cytrynowy. Wyborny też jest do herbaty, zamiast cytryny. Starannie zrobiony może leżeć lata całe, smaku nie zmieniając.

Pani Elżbieta.

„MÓJ KREM“ i „MÓJ PUDER HIGJENICZNY“ WE WSZYSTKICH ODCIENIACH

DR. MED. J. ŚWITALSKA.

SKŁAD GŁÓWNY TOW. AKC. KARPIŃSKI — ELEKTORALNA 35.

Korespondencje działu praktycznego

Pani M. W. Koluski.

Kefir zwykle robi się na grzybkach, które kupuje się w zakładach kefirowych „Życki i Kosiński” Szpitalna 8, lub u „Klaudji Sigaliny”, Królewska 31 w Warszawie. W każdej aptece, lub składzie aptecznym dostanie Sz. Pani również pastylek kefirowych, sposób użycia tak grzybków, jak pastylek dołączony jest do każdego pudełka. To jest ogólny sposób robienia kefiru, podaję tu sposób domowy, doskonały, przewyższający o wiele wszelkie sztucznie otrzymane rezultaty. Przygotować kilka butelek hermetycznie zamykanych z porcelanowymi korkami, takich jak używają do piwa. Nalewać codziennie jedną butelkę mleka niezbieranego, przegotowanego, ostudzonego tak, aby jeszcze dobrze letnie było. Mleko przed nalaniem wymieszać dokładnie z dużą łyżką doskonałej śmietany kwaśnej, nalać w butelkę, postawić w cieniu w temperaturze pokojowej i kłócić mocno co kilka godzin przez pierwszą dobę, nazajutrz wynieść do piwnicy, położyć i jeszcze kilka razy w ciągu dnia zmącić. Po południu drugiego dnia można używać, naturalnie zależnie od temperatury i pory w jakiej kefir robimy. Sposób niezawodny, bardzo smaczny i odżywczy.

Pani A. Z. Zagaje.

Małe pawiki chowa się tak jak indyczeta, początkowo daje im się jajko gotowane na twardo, następnie twaróg, kaszę, to co indyczki jadają. Trzeba ich strzec od wilgoci i zaziębienia również, jak indyczki.

Pani Z. D. Horodysławice.

Plagi pluskiew trudno bardzo pozbyć się. Niech Sz. Pani spróbuje następnego środka. Zrobić roztwór z pół kila szarego mydła, 7 litrów wody wrzącej, do której dodać 75 gr. technicznej sody żrącej. Wymyć i wyszprycować łóżka i meble, w których są pluskwy, uważając żebym nie uszkodzić fornieru i pokrycia. Podłogi i ściany myje się tą samą cieczą, szpary zalepia się gipsem.

Sposób II. Umieścić na kilka dni w możliwie hermetycznie zamkniętym pomieszczeniu kilka talerzy z siarczanem węgla. W ten sposób wytepi się i pluskwy znajdujące się w ścianach. Naturalnie do takiego pomieszczenia nie można wchodzić przez kilka dni, a przed użyciem pokoju doskonale go wywietrzyć. Dla ułatwienia sobie roboty można znieść wszystkie zarażone robactwem meble, pościel i łóżka do jednego pokoju.

Praktycznej.

Na życzenie wielu naszych Czytelniczek wydamy w pierwszych dniach lipca książeczkę p. t. „Haft kolorowy”, która zawiera wszystkie modnych sposobów haftowania. Która z Pań nadesłała do 1 lipca 1 zł.—otrzyma książeczkę w tej cenie.

Sądzę, że wyjaśni ona wszystkie wątpliwości poruszone w liście.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Prenumeratorka z Pomorza.

Wystającą kość prz. dużym palcu na nodze, poprawić można odpowiednim masażem. Przy dużych zmianach jedynie chirurgiczny zabieg może dać pożądany efekt.

Na łuszczenie się skóry stosować należy „Mój Krem”. Co do wągrows odsyłam panią do mego artykułu w „Bluszczu” „Łojotok”.

Jednolitość barwy włosów osiągnąć można tylko przez farbowanie roślinnymi farbami. Kolor należy dobrać zależnie od tego czy się jest blondynką, szatynką, czy brunetką.

Wieśniaczka.

Zmniejszyć podbródek można jedynie przez odpowiedni masaż. Na opaleniznę cery stosować następującą receptę 2 razy w tygodniu:

1 cytryna (sok), 100 gr. spirytusu, 50 gr. gliceryny.

Smarować na noc po uprzednim umyciu ciepłą wodą z mydłem lub boraksem toaletowym Karpińskiego. Na dzień, po umyciu i wysuszeniu twarzy natrzeć odrobiną kremu „Mój Krem”.

W. P.

Bez zobaczenia nie można w danym wypadku poradzić skutecznie. W każdym razie proszę podać bliższe szczegóły: kiedy i na co, ewentualnie Pani chorowała. Dr. J. Świtalska.

Opis sukien i robót do № 26.

581. Kostjum kąpielowy i płaszcz z eponge'u w dwóch kolorach, ozdobione haftem.

582. Kostjum kąpielowy z trykotu jedwabnego, czarnego z białym.

583. Kostjum kąpielowy dla dziewczynki siedmioletniej z dymki granatowej i ponsowej.

584. Kostjum kąpielowy z popeliny lila, lamowany fiołkowym i ozdobiony haftem.

585. Suknia z zefiru w kratę i gładkiego, pasek zam-szowy.

586. Suknia z popeliny koloru bois de rose, kamizelka biała.

587. Suknia z surowego jedwabiu przybrana haftem.

588. Suknia z crêpe de chine'u, spódniczka plisowana.

589. Kostjum z granatowego kasha, spódnica układana w kontrafałdy.

590. Płaszcz z peleryną z czarnego jedwabiu.

591. Suknia z kasha koloru rezedowego, przybrana gu-ziczkami.

592. Peleryna z czarnej tafty.

593. Ubranko kąpielowe z kretonu w drobny deseń dla chłopczyka pięcioletniego.

594. Ubranko kąpielowe dla małego dziecka.

595. Kostjum kąpielowy dla dziecka sześcioletniego.

596. Płaszcz kąpielowy z eponge'u w pasy.

597. Kostjum kąpielowy z satyny w dwóch kolorach dla dziewczynki dziesięcioletniej.

598. Kostjum kąpielowy z trykotu granatowego przybrany surowym jedwabiem w pasy.

599. Wzór na okrągłą serwetę, haft richelieu i angielski.

600. Wzór na teczkę, haft kolorowy.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielka ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenum-torek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.

TOW. AKC. „FR. KARPIŃSKI W WARSZAWIE“

P O L E C A

PRZETŁUSZCZONE HIGJENICZNE

MYDŁO LILJOWE

DLA CERY DELIKATNEJ I WRAŻLIWEJ
NIE ZNOSZĄCEJ NAWET WYBOROWYCH
GATUNKÓW MYDEŁ

BACZNOŚĆ MATKI!

KAŻDEGO 8-go i 22-go W MIESIĄCU
WYCHODZI DWUTYGODNIK

DZIECKO I MATKA

Dwutygodnik ten, którego współpracownikami są wybitni lekarze, pedagodzy oraz specjaliści w wychowaniu dziecka w okresie przedszkola, jest poświęcony sprawom wychowania i zdrowia dziecka do lat 7-tych (prospekt dołączyliśmy do numeru 18-go „Bluszcza“), KAŻDY NUMER W BARWNEJ OKŁADCE, bogato ilustrowany, z dodatkami t. j. tablicą krojów ubrań dziecięcych, względnie krojami bibułek. W PRENUMERACIE MIESIĘCZNEJ Z PRZESYŁKĄ—TYLKO 50 gr.; KWARTALNEJ 45 groszy.

Nie należy zwlekać i natychmiast dwutyg. zaprenumerować, gdyż numer pierwszy jest na wyczerpaniu. Najlepiej przesłać prenumeratę kwartalną w kwocie 2 zł. 70 gr. lub ostatecznie miesięczną w kwocie 1 zł. czekiem P. K. O. Nr. 12.900. Numery okazowe wysyłać będziemy po nadesłaniu znaczków pocztowych za 50 gr. do

ADMINISTRACJI „DZIECKO I MATKA“
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99.

NAJA TRIPUDIANS

(ŻMIJA EGIPSKA)

ANNIE VIVANTI

JEST TO:

„Moeno napisana i konsekwentnie zbudowana powieść, wyświetlająca wiele problemów etycznych, niepokojących dzisiejsze społeczeństwo.“

Z. RABSKA (Kurjer Warszawski)

Cena zł. 3 —

Z przesyłką poleconą 3.50.

M A S Z Y N K I D O L O D Ó W



DO UŻYTKU
DOMOWEGO
ORAZ
MOTOROWE
DLA CUKIERNI,
SZPITALI,
RESTAURACJI
I PENSJONATÓW

ZNANEJ FABRYKI SZWEDZKIEJ:

„HUSQVARNA“

VAPENFABRIKS AKTIEBOLAGET

WYŁĄCZNA SPRZEDAŻ:

KRZYSZTOF BRUN I SYN

W WARSZAWIE, PLAC TEATRALNY

FILJE: MARSZAŁKOWSKA NR. 68 I NR. 124

DAJĄ GĘSTĄ NIEWYSYCHAJĄCĄ PIANĘ

M Y D Ł A

przetłuszczone

DO GOLENIA

Wyrobu Laboratorium Apteki
M. MALINOWSKIEGO

Warszawa, Nowy Świat 31.

177



175

BEZPŁATNA

Wyślka na prowincję prób ostatnich NOWOŚCI
LETNICH oraz towarów (przy zlecenach
powyżej 25 zł.)

BRACIA JABŁKOWSCY

WARSZAWA, BRACKA 25.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOW-
SKIE-PRZEDM. (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TEL. 239-40.
KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”
z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie 14 zł. 40 gr.
Miesięcznie—4.80 gr. Zagranicą — 8 zł.
Zmiana adresu 30 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica $\frac{1}{2}$ — 450 zł., $\frac{1}{2}$ str. — 260 zł.,
 $\frac{1}{4}$ str. — 150 zł., $\frac{1}{8}$ str. — 80 zł., $\frac{1}{16}$ str. — 45 zł.,
 $\frac{1}{32}$ str. — 30 zł. ; Za tekstem o 50% drożej.
Wkładki reklamowe i reklamy opisowe—według umowy.



*Jedwabi
nie należy wyżywać, lub
wykręcać po praniu, tylko
wycisnąć wodę*

Dawniej noszenie jedwabi należało do rzadkości. Dzisiaj nosi się jedwabie bardzo często, gdyż pranie ich zapomocą Lux'u stało się łatwe i można je prać bez obawy zniszczenia.

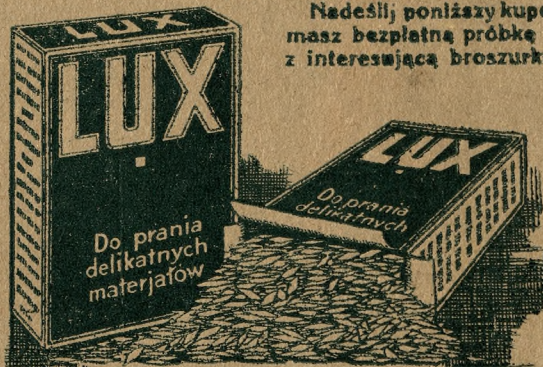
Cieniutkie płatki Lux'u rozpuszczają się natychmiast w gorącej wodzie, tworząc obfite mydliny, które łagodnie wyciągają wszelki brud.

Nie należy nigdy wyżywać lub wykręcać jedwabi, gdyż delikatne włókienka skręcają się i rozszczepiają. Przy użyciu Lux'u wszelkie tarcie jest zbyteczne, gdyż gęste mydliny poprostu same wyciągają brud.

Jak należy prać jedwabie!

Przygotuj roztwór Lux'u w gorącej wodzie, dodając zimnej, póki nie otrzymasz ciepłej piany. Następnie dobrze wygniatą w tych mydlinach przedmiot przeznaczony do prania. Nie trzymaj i nie wykręcaj! Wypłucz parę razy w letniej wodzie i zawiń w ręcznik. Gdy prawie suche będzie, wyprasuj ciepłem—nie gorącem!—żelazkiem.

Nadeślij, poniszczy kupon, a otrzymasz bezpłatną próbkę Lux'u wraz z interesującą broszurką.



KUPON

Do p. REDA. Skrzynka pocztowa 476, Poczta Główna, Warszawa.

Proszę mi przysłać próbkę mydła „LUX”

Nazwisko i adres

Mydlarnia w której zwykle czynię zakupy

Kupon ważny aż do odwołania.

Nadaje osoba może otrzymać jedną próbkę.

L. E. „Bluszcz”

Przedstawiciel na Polskę fabryk firmy Lever Brothers Limited
(Anglija) L. Reid, Warszawa, Moniuszki 11. Tel. 204-87, 186-80.